

# Androgyne



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

# Androgyne<sup>1</sup>

*Artyście  
i serdecznemu drubowi  
Stanisławowi Brzozowskiemu*

## W GODZINIE CUDU

Wrócił późno do domu.

Siadł przy biurku i bezmyślnie patrzył<sup>2</sup> na olbrzymi bukiet kwiatów, opleciony szeregiem, czerwoną wstążką.

Na jednym końcu wstążki jakieś mistyczne<sup>3</sup> imię kobiece.

Nic więcej.

I znowu doznał tego samego uczucia, które go długim miękkim dreszczem rozkoszy przebiegło, gdy mu ten bukiet podano na estradę po koncercie.

A przecież obrzucano go kwiatami, tyle wieńców posypało się u jego nóg, i dziwna<sup>4</sup>, że tylko ten jeden bukiet, ten jeden z tą czerwoną wstążką i tym mistycznym imieniem, którego wtedy jeszcze nie widział...

Co to było?

Jakby jakaś ciepła, drobna ręka chwyciła jego, nie — nie chwyciła, — wtuliła, wcałowała się pieszczącymi palcami w jego dłoń.

Może całowała te kwiaty, zanim mu je podano; może wpięściła swą twarz w miękkie łóżko kwiecia, zanim je w bukiet powiązała; może przytuliła ten pyszny naręcz<sup>5</sup> kwiatów do swego serca; może wgrzebywała się nagimi ramionami w całe posłanie z kwiatów...

I kwiecie przesiąkło jej oddechem, przesyciło się lubieżnym ciepłem stęsknionego ciała; może jeszcze drży cichym, namiętym szeptem jej pragnień...

Bo kochała go, знаła go dawno, drżała dnie całe, zanim się odważyła dać mu te kwiaty... wiedział to, wiedział z pewnością...

Wiedział, że go kochała, bo takie kwiaty dają tylko dziewice, które kochają.

---

Zamknął oczy i słuchał.

Widział ogromne róże, czarne, pąsowe, białe, chwiejące się na wysokich prętach; słaniały się i gięły, upojone swoim własnym przepychem.

Widział tuberozy<sup>6</sup>, jak białe gwiazdy betleemskie<sup>7</sup> na wiotkich łodygach; widział olbrzymie drzewa białych i czerwonych azalij<sup>8</sup>, obsypane miękkim puchem kwiecia, strojne i pyszne, jak dziewicze suknie balowe; widział orchideje<sup>9</sup> z otwartymi ustami<sup>10</sup>, ziejące obez-

<sup>1</sup>*Androgyne* (z gr. *ανδρογυνής*) — istota łącząca w sobie cechy męskie i żeńskie; w filozofii: człowiek idealny, pełny; wg koncepcji romantycznej: miłość idealna, całkowita jedność kobiety i mężczyzny. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*patrzył* — dziś popr. forma 3os. lp cz.przesz. r.m.: patrzył. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*mistyczny* — tu: tajemniczy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*dziwna, że (...)* — dziś: dziwne, że. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*pyszny naręcz* — dziś popr. r.n.: pyszne naręcze. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*tuberoza* — właśc. tuberoza bulwiasta, kwiat o białych lub jasnoróżowych płatkach, o charakterystycznym mocnym, upojnym, słodkim zapachu, używanym przy produkcji perfum. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*betleemski* — dziś popr. pisownia: betlejemski. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*azalij* — dziś popr. forma D. lm: azalii. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*orchideja* — dziś popr.: orchidea. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*usty* — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

władniającym czarem i lilie z rozwartymi kielichami, pijące diamentową rosę, i narcyzy, i bijony, i begonie — całe powodzie różnobarwnego kwiecica, upajającej woni spłynęły do jego duszy.

Miękki zapach bzów majowych rozlał się cichą rozkoszą dalekich fletni pastuszych w nocach wiosennych — cichymi rękami obejmowały lilie jego serce; lubieżną rozkoszą wdychały się w niego róże; świetlistym blaskiem okoliła go woń tuberozy — rozkosznym jadem wsysał się w niego odurzający zapach kwiecica akacji, co się deszczem i błyskawicą burzy letniej przepoiły, a wszystkie te zapachy miękkie i chłodne, jak oczy dziewcząt, nieświadomych swej płci — gorące i lubieżne, jak ramiona rozpasanej hetery — jadowite i krzyczące jak oczy zdeptanej żmii: to wszystko zlewało się w niego, przenikało, syciło go; był odurzony, obezwładniony; czuł, że ruszyć by się nie mógł, nie odróżniał już wrażeń, nie widział barw, nie czuł zapachu, wszystko zlało się w jedno.

Z duszy wykwitł mu daleki obszar ugorów, pusty, szeroki, jak jęki rozkołysanych dzwonów w pomrokach Wielkiego Czwartku; gdzieś w dali szklili się białe pasek jeziora, spowitego w senną ciszę upieką<sup>11</sup> południa; tylko tu i owdzie wystrzelała smukła łodyga dziewanny, jakby nagle rozerwała upalną ziemię i zwycięską pięścią kwiecica wytrysnęła w niebo — tylko tu i owdzie parę skarłowaciałych jałowców, pokurczonych w dziwaczne kształty, jakby je struł jad pogniłych trupów, co tu kiedyś krwawym pokosem legły — tylko tu i owdzie po piaszczystych rowach promieniste, błękitne koszyczki cykorii, czekające z utęsknieniem chwili zachodu, kiedy kwiatki stulić mogą i śnić tajemne czary cmentarnie pustych ugorów.

I znowu widział rozstajne drogi wśród torfisk i bagien. Nadeszła upiorna godzina, pełna tajemnych strachów i lęku. Raz po raz przebiegnie błędny ognik, chyżym jak myśl lotem; raz po raz rozleje się ciche, tajemne światło na bagnistych stawach; raz po raz zaskowyczy pies w pobliskiej wsi, a inny mu odpowiada przeciągłym wyciem; to znów odezwie się ochryple ryk rogu stróża — i znowu cisza, cisza, co się wkrąża, wgłębia w przepastne czeluście i wszystko chłonie i moje dziś i moje jutro, przykuwa do ziemi, wyodrębnia od całego świata i tak nieskończenie usamotnia<sup>12</sup>.

I w coraz to nowych obrazach przesuwala się przed jego duszą cała ziemia rodzinna: olbrzymia płachta, postrzępiona i pokrajana w zielone szmaty jęczmienia, w rozkwiecione białe pola tatarski<sup>13</sup>, złote łany żyta, krwawe zagoni ciężkich jak bicze kłosów pszenicznych — cała ziemia, umajona, rozkwitła, rozpasana w szale rozrodczym, w godowym przepychu uroczystej ciszy — cała ziemia aż hen pod górki, pod parkan białego kościoła...

Łały się świętą łaską szerokie pasy dzwonów na pola; lał się wokół promieniejącą strugą ogromny śpiew procesji Bożego Ciała; migotały wśród czarnych krzewów, okalających kościół, białe sukienki dziewcząt, sypiących kwiatki przed nogi siwego kapłana; czerniały sukmany, przewiązane czerwonymi pasami...

Drgnął. Aż wkulił się w siebie z tęsknoty.

I znowu w nieskończonych korowodach: pochód weselny — szerokie łkanie skrzypiec z kory lipowej, ochryple dudnienie basów, brząkających groszami, które pan młody sygnął do ich wnętrza — i krzyk, co miarowo rwał się ostrym i piskliwym promieniem w górę: Oj nasza! To znowu wlecze się po roztopionych drogach na podzimku mały orszak śpiewających ludzi. Parę dziewcząt niesie na paskach białą trumienkę zmarłego chłopca — to znowu — o, o — bez końca, bez miary, nieskończonem pasmem...

Z wolna ciemniało mu w oczach — tylko parę niejasnych, oderwanych obrazów prześlizgło<sup>14</sup> się leniwo<sup>15</sup> przez jego mózg — dusza się mroczyła, gasła, kofysała się w sen, aż naraz zerwała się w potężnej pieśni.

I czar, i odurzająca woń egzotycznych kwiatów, i raje ziemi rodzinnej, to wszystko zlało się w jego duszy w rycerskie pochody spiżowych dźwięków, w stal okutych, aż ziemia się ugięła pod ich zwycięskim rozmachem, — dusza jego stopniała w lkających zawodach<sup>16</sup> matki, co ostatnie dziecko utraciła; rozzieleniła się rutowym wiankiem

<sup>11</sup>upieka — dziś: spieka, upał. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>usamotniać (neol.) — czynić samotnym. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>tatarska (reg.) — gryka. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>prześlizgło się — dziś popr.: prześliznęło się a. prześliznęło się. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>leniwo — dziś: leniwie. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>zawody — tu: zawodzenia. [przypis edytorski]

w godowych piosenkach; szalała pijanymi podrygami w przepelnionych karczmach — wystrzeliła dzikim krzykiem w górę, jak samotna lodyga dziewanny na spiekłym ugorze — cała pieśń lała się w dzikie łożyska, schła, nawracała znowu się rozlewała...

I chwyciła go jakaś potężna moc w swe ramiona. Szał burzy okręcił go złowrogim skowytym, porwał go na czarne odmęty spienionych potopów, wicherzył się w nim, wyl, szarpał go, tylko w przepastnej głębi jasny dźwięk, co nikł i pojawiał się, tonął i wynurzał się z odmętów, jak odbicie bladej gwiazdy w rozhukanym rozkapieniu ciemnych fal.

I długo walczył ten jasny promień z wodną rozwieją, burzą targanych mór, ale z wolna rozlewał się upornie w cienkie paski, skręcał się w węzowych rzutach, podwijał się pod siebie, to znowu wyciągał się jak struna: — ponad chwiejącą się roztoczą rozpacznych<sup>17</sup> skowytów, cierpienie od mętnych, krzyku i wycia przeskakiwały ciche tęskne fale światła; coraz szersze, coraz silniejsze fale ukojenia i cichej rezygnacji ujęły burzę i szal w świetliste ramiona, tuliły i kołysały w jakąś niezmierną tęsknotę, w jakieś omdlewające upojenie...

---

Drgnął.

Wyłoniła się twarz dziewczęcia: jasny dźwięk, jasne odbicie bladej gwiazdy w rozkapieniu ciemnych fal, — nie widział jej nigdy, ale znał ją, znał...

Ocknął się, przetarł oczy — mózg mu się widocznie rozmajaczył. Był przecież tak wyczerpany...

Zapalił papierosa — chodził po pokoju, ale nie mógł się pozbyć wizji tej drobnej twarzy wpół dziecka, wpół kobiety...

Tak, to ona! Ona darowała mu te kwiaty. Zastanowił się, skąd to wiedział z taką pewnością.

Przecież mu je podawał na estradę służący...

I myślał, myślał...

— Więc była tam, siedziała w pierwszym rzędzie i wświeciła ciemne gwiazdy swych oczu w moją duszę, odbiła je w odmętach mej duszy. Wtedy, kiedy cały świat zanikł mi sprzed oczu, kiedy wszystko się zlało w jeden orkan burzy, co spod mych palców wypływał, potęga jej tęsknoty odbiła we mnie te oczy — jej oczy... A ja sam dopełniłem jej twarz, bo tylko taka twarz płomieni<sup>18</sup> tym światłem, co się wokół tych oczu rozlewa...

A światło to ogarniało go całego, wsiąkło w krew jego, poczęło okręzać żyły; przeszedł go dreszcz od góry do dołu; drżał w nieznanym upojeniu.

— Bo przed chwilą odkupienia dzieją się dziwne znaki — szeptał cicho do siebie — cała ziemia się we mnie rozbudziła; całe życie prześlizgnęło<sup>19</sup> się błyskawicą przez moją duszę; cała rozpacz i rozkosz mego życia roztoczyła swe skrzydła przed moimi oczami...

Stanął i patrzył długo na bukiet kwiatów i na czerwoną wstążkę z tym tajemniczym imieniem...

Tak, — ona gibka i wiotka jak lodyga tuberozy, a oczy jej czyste, jak te dwie białe gwiazdy na slaniającej się sennie tuberozie.

Znowu zastanawiał się nad swoją wizją...

To tajemna chwila, kiedy słońce się budzi — pomyślał...

Patrzył długo przez okno na śnieżne pola pozamieścia<sup>20</sup> — w pierwszym brzasku błękitniał śnieg; rozlewający się pasek jasnych tonów wił się w węzowych liniach na krańcach nieba...

---

Odtąd już nie mógł się pozbyć wizji tej drobnej twarzy z ciemnymi gwiazdami, co swym światłem krążyły w jego żyłach — przed oczyma miał ustawicznie jej gibką postać wpół dziecka, wpół kobiety, w kształt smukłej tuberozy z dwoma białymi kwiatami...

Całymi godzinami myślał i marzył.

I wciąż i ustawicznie te same zjawy przesuwały się przed jego oczyma. W głębi jego duszy spłotły się nierozzerwalnie widzenia ziemi jego, korowody tonów i pieśni, zapachy kwiatów, ciemna burza i odbicie białych gwiazd w rozkapieniu fal morskich.

---

<sup>17</sup>rozpaczny — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>płomienc — dziś: płonąc. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>prześlizgnęło się — dziś popr.: prześlizgnęło się a. prześliznęło się. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>pozamieście — dziś: przedmieście. [przypis edytorski]

Nie rozumiał całego związku — zdawało mu się czasem, że ona — to jego ziemia w całej swej wiosennej tęsknocie — kwiaty, które mu dała, to strój, wiecznie odmienny, a wiecznie ten sam kształt jej duszy — oczy jej, to...

Przerzywał natłok myśli, chwycił kwiaty, zasypywał się nimi, tarzał się w nich, odurzał się i marzył i śnił o niej...

Już ją miał w swoich ramionach, podrzucał w namiętym uścisku na swe piersi i całował — całował...

A naraz zrywał się w gwałtownym postanowieniu: musiał ją odszukać — musiał!

Byle tylko pochwycić jeden promień jej oczu — byle tylko jeden przeblysk, jedno okamgnienie jej spojrzenia, a pozna ją — niezawodnie pozna ją...

I błądził całymi dniami po ulicach miasta, całymi godzinami siadywał w alejach, co miasto opasywały — tysiące ludzi przesuwano się przed jego oczyma, w każdej twarzy dziewczęcej dopatrywał się jej, każde spojrzenie zdawało się wświecać w jego żyły tę samą rozkosz, jaką jej oczy mu serce aż do dna przepaliły — ale wciąż to samo rozczarowanie: to nie ona!

A jednak czasami słyszał w wieczornym zmroku tuż poza sobą odgłos kroków, gdyby łopot niespokojnych skrzydeł, co lada chwilę do lotu zerwać się miały — czasami widział błyskawiczny przeblysk jakichś ciemnych oczu, co z nieznanych dali, czy też poblizy w duszę mu się wgrzyzały — raz uczył jej miękką, pieszczącą dłoń w swojej, gdy stanął w ciemnym kącie kościoła i chłonał smutną zadumę wieczornych model<sup>21</sup>, ale gdy się odwrócił, gdy oczyma wżerał się w mrok, by go w świetliste szmaty rostrzępić, widzenie pierzchało; pozostał tylko cichy przeblysk oczu, ciepły oddech ręki, a wzdłuż nerwów spłynął kształt wiotkiej, gibkiej tuberozy z dwiema białymi gwiazdami.

---

Śnił, był królem...

O bolesna rozkoszy bezsennych nocy, kiedy leżał na tarasie swego pałacu i patrzył na gwiazdami obsiane niebo.

Wokół pięły się podzwrotnikowe bluszcze; z ciemnych krzewów wyrastały złote kiście czarownego kwicia; pięły się kwiaty, jakich jeszcze oko ludzkie nie widziało: kwiaty z olbrzymimi kielichami, gdyby dzwonki mosiężne, kwiaty z liściem, połyskującym barwą roztopionej miedzi, kwiaty w kształt łona rozkwitających dziewic, kwiaty, które, zda się, żywymi oczyma patrzyły, oczyma śnieżnych mew i albatrosów... to znowu lodygi, jak lilie z zamartwych serc wyrastające, to znowu płomienne języki wykwitłe z bulw, co wyglądały jak potworne czaszki ludzkie — całe nieprzerwalne<sup>22</sup> gąszcze najdziwaczniejszych kwiatów. Wokół, jak daleko oko sięgało, olbrzymie ciemne lasy, porosłe paprociami, storczykami, ananasami — a wszystkie te latorośla<sup>23</sup> pięły się po palmach, kokosach, drzewach chlebowych, wiły się wokół nich, splatały i wiązały drzewa, przechodziły z gałęzi jednego pnącza na drugi, a z tarasu królewskiego pałacu wyglądał las owity powojami i lianami, gdyby<sup>24</sup> jedno olbrzymie, potwornie splecione węzowisko.

I w gwiazdami olśnionej, błękitnej nocy, w całym tym odmęcie zapachów, kształtów, barw, śnił on — król — o niej jedynej — tarzał się w gorączce tęsknoty i pragnień, wił się po miękkich kobiercach, wgrzyzał się palcami w ziemię, odurzał się jadowitą wonią najpotworniejszych kwiatów, krzyczał za nią — na próżno...

Aż wreszcie:

Kazał zwołać najpiękniejsze dziewice swego kraju, ustawić w bezmiernej sali w dwa rzędy, — ciągnące się od stóp tronu, aż w głąb pałacowych ogrodów.

I ubrany w bisior i purpurę siedział długo na swym tronie, pił się twarzą w obie dłonie, patrzył w długie szeregi drżących oczekiwaniem i przecuciem dziewic, z których każda z rozkoszą stałaby się jego niewolnicą — patrzył i myślał...

Która?

Jakżeż ją odszuka w tym czarownym lesie jasnych, czarnych, czerwonych główek?

---

<sup>21</sup>model — dziś popr. forma D. lm: modłów. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>nieprzerwalne — dziś: nieprzerwane. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>latorośle (daw., r.n.) — dziś popr. w r.ż.: latorośl. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

A serce jego wyczuje ten jeden promień tych jednych oczu wśród tych drżących, nieśmiały, wstydlivy, to znowu palących i wyzywających spojrzeń, co w jego oczy spłyną?

Która?

Ta, której oczy płomienia<sup>25</sup> gdyby grono wilczojagody, co na dzikich porębach wyrosła?

Ta, z której łagodnych oczu raz po raz wytryśnie krwiozerczy płomień ulaskawionego tygrysa?

Ta, po której czole przeleci błyskawica, co z serca wyrasta i cichym smutkiem na twarzy się rozlewa?

Ta, której ręce opadły, gdyby zwiędłe lilie, czy ta, co jagody swych piersi w kuszące dłonie ujęła, czy ta z kształtami lśniącego węża, czy ta, co z promieni gwiazd, zda się, wykwitła?

Silniej jeszcze wpił twarz w swe rozpalone dłonie, bo czuł, że jej nie odnajdzie — szereg spływających się ze sobą kształtów, twarzy, oczu, zamącił duszę królewską...

Zstąpił z wolna z tronu — a szereg dziewic ślaniał się jak świeży las białych brzózek, gdy wiatr przez niego przewieje.

Gdyby pszeniczne kłosa w parne południe, gdy się nagle zerwie gorący powiew, skłoniły się główki: cała sala zdawała się dyszyć<sup>26</sup> zapartym oddechem.

I trzy razy przeszedł szereg najpiękniejszych dziewic swego kraju, wolno, coraz wolniej, aż wreszcie siadł na tronie, skinął ręką — pozostał sam.

Ciemniało w mrocznej sali, a król pogrążony w dzikiej rozpacz siedział jeszcze na tronie, wsparł twarz na zaciśniętych pięściach i patrzył bezmyślnie w dal.

Naraz czuł, jak się ktoś skrada wzdłuż lasu kolumn, co wspierały sufit sali — ślizga się ostrożnie gdyby wąż, a w ślad za nim spływa jaśń<sup>27</sup>, gdyby odbłysek nagiego ciała.

Król podrzucił dumnie głowę, bo nikt z śmiertelnych nie powinien widzieć mocarza w rozpacz.

Klasnął w dłonie, a niezmierna sala rozbłysła metalowym jaśnieniem; i w tym mrocznym półmroku widział, jak się do stóp tronu czołga kupiec syryjski, wlokąc za sobą nagą dziewczę.

Ramiona jej oploty złote węże, złotymi wężami opasane były kostki, a wokół biodr<sup>28</sup> złoty pas, spięty miast sprzączki kwieciami lotosu, wysadzonym kosztownym kamieniem.

Król porwał się i patrzył zdziwiony...

Nie widział jej twarzy, bo zasłoniła ją ramionami, widział tylko jej postać, widział gibkie a wiotkie kształty tuberozy z dwiema białymi gwiazdami, które zasłoniła liliami serca.

Z zapartym oddechem patrzył król na dziwne czary niewolnicy, drżał jak w trwodze śmiertelnej; widział, jak się ślaniała, jak zdała się stać w ogniu ze wstydu i lęku; włosy jej spłynęły ciemną falą po białych liliach — naraz kłękła, wyciągnęła dłonie i spojrzała na niego.

To ona!

Chwyił się oburącz poręczy tronu i z lękiem i przerażeniem wyszeptał:

Tyś mi dała kwiaty?

Skinęła głową...

---

Przebudził się — zerwał się na równe nogi, wyciągnął ręce z głośnym krzykiem — daremnie — wszystko zanikło...

---

Chwilami zdawało mu się, że oszalał.

Nie był w stanie o niczym myśleć, zapełnił swe pokoje kosztownym podzwrotniko-

Narkotyki

---

<sup>25</sup>płomienić — dziś: płonąć. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>dyszyć — dziś popr.: dyszeć. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>jaśń — jasność, blask. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>biodr — dziś popr. forma D. lm: bioder. [przypis edytorski]

wym kwieciami, chłonał zapomnienie i jad zabijających snów.

Budził się z snu, by pogрузić się w drugim, coraz dzikszym, coraz namiętniejszym...

Śnił, że jest potężnym magiem...

Przez trzy dni i trzy noce przygotowywał się do potężnego zaklęcia. Trzy dni i trzy noce wglębiał się i odczytywał znaczenie tajemnych znaków, spisanych w książkach, zamkniętych na siedm pieczęci; pisał i wbijał sobie w pamięć ukryte runy, które wywoływały nieznaną potęgę; trzy dni i trzy nocy<sup>29</sup> upajał się jadowitymi wywarami roślin, co kwitną w tajemnych czarach Nocy Świętojańskiej, aż wreszcie uczuł taką moc i potęgę, że mógłby przyspieszać dowolnie wzrost roślin, rzeki w biegu zatrzymywać, a nawet pioruny na ziemię ściągać.

I w godzinie wielkiego cudu ubrał się w kosztowne szaty praojca swego, Samyazy<sup>30</sup>, włosy przewiązał na siedm węzłów związaną przepaską, wziął miecz do ręki, wykreślił koło, wpisał w nie tajemne znaki, stanął w jego środku naprzeciw wielkiego zwierciadła i zawołał wielkim głosem:

O Asztaoth! Asztaoth!

Matko miłości, coś mi jadem pragnień i tęsknoty przegryzła serce, ogień namiętnych szarów rozlała w żyłach moich — matko jedyna, co z strun duszy mojej rwiesz bolesne jęki i krzyki tęsknoty, straszna matko, co ciało moje rozciągasz w piekielnej gorączce daremnych żądz, —

bądź pozdrowiona!

O Asztaoth! Asztaoth!

Szatańska córko złudzeń i kłamstwa, co mi w snach moich czarujesz przed oczy me największe rozkosze i upojenia, rzucasz mi ją w wściekły uścisk mych ramion, gibką wklina jej członków oplatasz ciało moje — okrutna córko szatańska, co pijesz potęgę i szal, i moc z krwi mojej, a budząc mnie, szarpiesz duszę moją bólem i rozpaczą —

zmiłuj się nade mną!

I po raz trzeci zakrzyknął:

O Asztaoth! Asztaoth!

Matko przewrotności, patronko łona nieplodnego i nieplodnych rozkoszy, co mi w duszę wpiekłaś pragnienia, których nigdy nie gasisz, w krew moją wświeciłaś sny niezemskiej chuci, których zaspokoić nie chcesz, mózg mi przesycałaś jadem nieludzkiej żądz, co mgłą obłądu oczy zachodzi —

wysłuchaj mnie, Pani!

A w strasznym wysiłku włosy mu dębem stanęły. Drżał i trząsał się, jakby każdy członek żył samodzielnie dla siebie. Zdawało mu się, że się wyłania sam ze siebie, że się coś z jego duszy, z jego najgorętszych pragnień, najwścieklejszych żądz i tęsknot poza nim kształtuje, ciałem się staje.

Rozległ się straszny grzmot, jakby jakaś planeta oberwała się i runęła na ziemię — zerwał się wściekły orkan wichru, piekielne chichoty i wycia szarpały mu mózg na strzępy i naraz widzi w strasznym przerażeniu, jak się wokół zwierciadła tworzy świetlista mgła, krąży, wiruje, przetwarza się w kształty; coraz jaśniej rysują się linie i zarysy, krągła się, nabierają ciała, tętnią krwią, dyszą ciepłem i żarem życia...

Fala błyskawic zapieniła się i opadła w ciemnej komnacie, piorun uderzył w olbrzymie zwierciadło, rozległ się krzyk, a na szyję opadła mu w namiętym, dzikim rozpasaniu ta, której szukał, której pragnął, dla której duszę swą zaprzepaścił...

---

O nocy szarów i błędnych upojeń!

---

Przeraził się tych snów.

<sup>29</sup>trzy nocy — dziś popr. forma: trzy noce. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Samyaza (mit.) — upadły anioł. [przypis edytorski]

Nie poznawał sam siebie; więźby i spójnie jego duszy rozluźniały się, pękały; nic go już nie obchodziło, żył tylko w swoich potwornych snach, a w rękach miał, ścisnął czerwoną wstążkę, którą były przepasane kwiaty, dawno już powiędłe.

Zdawało mu się, że coś z jej istoty wsiąkło w tę wstążkę. Czuł, że żyje. Gdy ją głaskał, zdawało mu się, że ręka jego splywa wzdłuż jej aksamitnego ciała; gdy ją całował, czuł zapach jej jedwabnych włosów; okręcił ją naokoło swych piersi, a czuł oplot jej wiotkich członków...

Coraz gwałtowniej wzrastała w nim tęsknota i ból; szarpał się w bezsilnej niemocy. Ta, która mu kwiaty dała, stała się jego wampirem, co wszystką krew mu z żył wysysała.

I znowu włóczył się po pustych ulicach i alejach; o zmroku wchodził do kościołów, bo raz kiedyś zdawało mu się, że jakaś ręka, jej ręka, wsunęła się cichą pieszczołą w jego dłoń. Błądził o zmroku wśród wiosennych drzew, bo kiedyś słyszał za sobą jakieś kroki — jej kroki — gdyby lękliwy łopot niespokojnych skrzydeł. Godzinami całymi stał w oknie i wzerał się w ciemność, bo raz kiedyś zdawało mu się, że widzi czyjeś oczy — jej oczy — jak się z gorącą tęsknotą wpiły w niego.

Aż razu pewnego:

Zmrok już zapadał. Pomiędzy gęstymi koronami drzew alei migotał tu i owdzie krwawy blask latarni; zrywał się i gasł rozgwar miasta, a jakaś parna, nieskończenie smutna zaduma zaległa nad zielonymi dachami drzew.

I naraz ujrzał ją na rozstaju dwu alei.

Wiedział, że to ona.

Te same oczy, które mu w duszę onego wieczoru wświeciła, ta sama twarz, bo tylko taka twarz płomieni<sup>31</sup> tym światłem, co się wokół tych oczu rozlewa.

Drgnął, stanął, i ona stanęła przelękniona.

Spojrzenia ich schwyciły, splotły się. Chwilę stali przykuci do ziemi: oczy ich milczały długo w bolesnym spowiciu.

Chciał przemówić do niej, ale czuł, że słowa nie wykrztusi; drżała na całym ciele i ona drżała.

Naraz spuściła oczy, stała chwilkę, a potem przeszła cichym, chwiejnym krokiem.

Oprzytomniał.

Szedł za nią z cicha, ostrożnie. Skradał się wzdłuż drzew, krył się raz po raz za grube pnie, bo wiedział, że się teraz trwożnie obróci i będzie lękliwie nasłuchiwać, czy jej nie śledzi, czy za nią nie idzie.

Widział, jak cień jej przy każdej latarni się wydłużał, to znowu malał, to znowu zupełnie nikał — och, cień jej tylko oderwać od ziemi — pomyślał — jej cień — jej cień...

Naraz zerwała się w nim gwałtowna myśl: pobiec, pochwycić ją, spojrzeć jej w oczy — długo, przeciągle, schwycić ją za ręce, miąć je w swoich i spytać — jedno słowo tylko: Tyś mi dała kwiaty?

Ale tuż na skrócie wbiegła do domu, tuż, zanim zdołał zaimar swój spełnić.

Patrzył długo w otwartą, ciemną bramę.

Chwilę zdawało mu się, że stanęła i oparła się o ścianę sieni, że czeka na niego, że woła go oczyma — zamigotała biel jej rąk, zaszeleścił jedwab jej sukni — ale nie — mylił się...

---

Wlókł się zmęczony do domu.

Jakiś straszliwy, a nieskończenie cichy smutek krążył mu w żyłach, zlewał się w sercu, wdrażał się w najtajniejszą szczelinę jego nerwów.

Nigdy jeszcze nie był tak smutny.

A więc dopełnił się cud.

Kochał ją.

I przerażony pytał się sam siebie: więc to miłość?

Siadł na ławie i myślał.

Płomienną falą złał się przed oczyma jego duszy cały szereg kobiet, które znał, pieścił, tulił i w namiętych spłotach z nimi się zrastał...

<sup>31</sup> płomienić — dziś: płonąć. [przypis edytorski]



Ta, niedociekliwa, tajemnicza, z połyskiem czarnego jedwabiu; jak pantera, przy-  
czajona do skoku —

Ta, z oczyma gołębiczy, a z sercem rozpuśnym, łagodna jak gazela i drapieźna jak dziki  
kot —

Tak, śliska jak wąż, z ciałem chłodnym, jak liście róż wodnych —

Ta, wiotka i pyszna, upojona swym własnym przepychem —

I ta bezpierzna, w kształt smukłego efeba, i ta silna i giętka w kształt klingi z stali  
damasceńskiej...

A przecież żadnej z nich nie kochał.

Porzucił je bez żalu i nie czuł żalu, gdy go porzuciły; a gdy się cofał w tył całą długą  
drogę swego życia, nigdzie nie napotkał złamanego kwiatu; żadna nadłamana i owiędła  
gałąź nie mówiła mu: tędy burza przeszła.

Więc to miłość — szeptał — godzina cudu —

Gwałtownie wyrzucił z mózgu namiętne obrazy rozpasanych heter i niewinnych go-  
łębic — wzdrygnął się przed wizją nagich postaci, lubieżnych splotów, rozpasanych krzy-  
czącą namiętnością rąk i ramion, i z dziecinną cześcią<sup>32</sup> szeptał: Godzina cudu — godzina  
cudu...

I myślał — myślał...

Kochał ją, jak kiedyś rozlaną strugę światła na morzu ukochał.

Widział olbrzymi, granitowy słup latarni morskiej na cyplu wysokiej skały.

Pomnął<sup>33</sup> dziwaczne kształty tej skały. Jak gdyby olbrzymi, w niebo wyrastający na-  
wrót bałwanów morskich nagle skamieniał w chwili, kiedy się rozstrzępioną grzywą śnież-  
nych pian miał zwalić w przepastną czelusć morskiej kotliny.

Na najwyższym szczycie skalistego grzebienia strzelał wysoko ponad morzem grani-  
towy słup.

Całymi nocami siedział przy ognisku elektrycznego światła, patrzył przez potężne pry-  
zmaty latarni na wiecznie nowe cuda świetlane.

Widział strugę światła, w klin rozlaną na cichych bezdrożach, w świętecznie czystych  
nocach księżycowych.

Świetlista, przeźrocza dłoń legła pieszczącym połyskiem na słodkim łonie kochanki,  
rozlewała się po nim i przesuwawała, jak się przesuwają milczące a spragnione usta wzdłuż  
drgających piersi dziewiczych.

Noce całe patrzył na tę tulącą pieszczotę, to spragnione błąkanie świetlistych dłoni.

To znowu widział, jak światło haftowało złotym rąbkiem pomarszczoną toń. Jak da-  
leko oko sięgało, pajęczce kręgi złocistych koronek, — coraz większe, coraz szersze, im  
dalej wzrokiem wybiegał, — a granitowy słup zdawał się jeszcze wyżej w niebo strzelać,  
dumny czarownym przepychem złotego obszycia.

I patrzył bez końca na olbrzymie sieci pajęczce, usnute z złotych nitek, patrzył na  
przesuwające się, zwiewne i nieskończenie faliste nici roztopionego złota, jak się z sobą  
zlewały, wzajem się przesywały, albo też biegly wzdłuż siebie wyciągniętą struną gwiazd-  
nych promieni.

To znowu widział światło latarni, jak się rozpacznie<sup>34</sup> wżerało w gęste tumany mgieł.  
Coraz nowe, coraz silniejsze mgły opadały na morze, rozwiewały się znowu, aż wreszcie  
zbiły się w nieprzedarte obłoki.

Patrzył i czuł tę straszną walkę światła, jak się potężnym klinem wdzierało w gęste  
opony<sup>35</sup>, jak ostrymi szponami szarpało wodne opary, jak się rozlewało tuż przed jego  
oczyma białą luną, a przedrzeć się nie mogło.

Ale najwięcej ukochał je, gdy w dzikich podrywach szalało na rozpienionym morzu,  
kiedy posady granitowego słupa drżały, jakby były targane trzęsieniem ziemi, a rozhu-  
kane kołowroty bałwanów morskich, podrzucanych huraganem, były z wściekłym hukiem  
o przyzmaty latarni.

Takim, ach takim było światło, które oczy jej w żyły mu wświeciły:

<sup>32</sup> *częścią* — dziś popr. forma N. lp: *część*. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *pomnąć* a. *pomnieć* — pamiętać, przypominać sobie. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *rozpacznie* — dziś: *rozpaczliwie*. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *opona* (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

Miękkie i pieszczące jak ta biała dłoń, co legła na łonie morza — spragnione żarem milczących ust, co po piersi dziewiczej błędzą — drżące i rozkoszne rozigraną pieszczotą złotego haftu promieni; rozpaczne niemocą długich, ostrych palców, co na próżno szarpia ciężkie opony najzawilszych tajemnic; rozpasane bólem świetlnego węża, co z huraganem poszedł w krwawe zapasy.

I w tej samej chwili — w godzinie wielkiego cudu przekształcił mu się cały świat. Wszystkie formy i kształty zlały mu się w jedną giętką, wiotką linię; całe potopy barw, promieni światła spłynęły w jeden ciemny, gorący blask; ocean dźwięków, drgnień, ruchów, gięć i fal rozkwitł jednym pysznym kwieciami pieśni — pieśni, którą była ona — ona jedyna.

I na toż go jego ziemia wydała, na toż rysowała i żłobiła swoje kształty w jego duszy, by się jej postać w nią zlać mogła, jak w odwiecznie przygotowaną formę?

I na toż spływał w jego oczy czar nocy księżycowych na cmentarnie pustych ugorach i rozkosz i ból światła, co morze ukochało, i blask słońca, drgającego w upalne południe nad strzechami rodzinnej wsi, — na toż wpiekły mu się barwy spalonych traw i jadowitych kwiatów, bagien i trzęsawisk, by oczy jej mogły się wpić swym światłem aż w dno jego duszy, odcień jej włosów welgnąć w jego nerwy, a ton jej ciała przebiec dreszczem nigdy nieznanej rozkoszy wzdłuż jego piersi?

I na toż rozjęczała się cała jego ziemia nieskończenie smutną pieśnią, rozdźwiękły dzwony pochmurną zadumą, na ugorach wiatr zawodził w takt poszumu rozkołysanych łąnów pszenicznych — by każde drgnienie, każdy ruch jej wiotkich członków, każde zagięcie jej kształtów mogło spłynąć z odwieczną harmonią jego duszy?

Szedł z dumnie wzniesioną głową, szedł jak potężny wódz z cichym, świadomym swej potęgi tryumfem, bo przecież niósł słońce w swej piersi — niósł wszechświat: najtajniejsze zagadki i tajemnice bytu.

Szedł cichy i wielki, bo dusza jego ukazała mu swe najskrytsze głębie, pozwoliła mu czytać swe najtajniejsze runy — i szedł potężny, bo niósł słońce w sobie.

Szedł coraz wyżej stromym szlakiem, ale szedł lekko, jakby go coś niesło, aż wreszcie stanął na szczycie wysokiej góry.

Spojrzał w dół — w kotlinie u stóp jego to rozkołysane morze dachów, dyszące świetlistą luną światła — to miasto jego.

A w dali poza miastem pasmo gór wygięte, połamane, zjeżone gdyby<sup>36</sup> szeregi gdzieś spoza widnokregu napływających bałwanów morskich, porosłe lasami kasztanów. Zielone góry kasztanów, wysadzone białymi kiściami kwieciami — och, jak płonęły gromniczne świece kwieciami na zielonym adamaszku, co zda się z nieba spływał w dół ku miastu!

Naraz wezbrało się serce jego nieznaną potęgą, wrósł w niebo, wyciągnął ramiona; dziki krzyk rwał mu się z serca, by słońce, które niósł w piersiach, pokazać całemu światu; czuł, że rozlewa światłość wokół siebie, czuł, że się wznosi ponad wszechzycie — czuł się wniebowziętym...

---

Ochłonął...

Zerwał się z ławki i szedł ku domowi.

Było już późno, latarnie pogaszono, szedł w pomroku rozłożystej alei kasztanów, jak w sennych czarach. Szedł, nie wiedząc prawie, że idzie.

Wściekła tęsknota żłobiła mu głębokie bruzdy w duszy, ogień miał w głowie i piersiach.

A przecież miał ją w sobie, niósł słońce, wszechświat, niósł ją w swej piersi — i czemuż tęsknił?

Zaśmiał się cicho.

Twarz jej tak dziwnie jasna i przezrocza, oczy jej tak wielkie i przestraszone, kształty jej tak wiotkie, jak młoda trzcina na wiosnę.

Gorączka go trawiła.

Przyszedł do domu i padł wyczerpany na łóżko.

---

<sup>36</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

Noc stężała w powietrzu — noc skamieniała, żadne światło już nie będzie mogło przedrzeć się przez olbrzymie sklepienie nocy, kamiennymi złomami nad ziemią rozrzucone...

W ciemnej nocy krzyczały rozpacznie wielkie kwiaty za słońcem, gięły się w kurczach bólu, prostowały się, strzelając gwałtownie w górę, jak w konwulsjach tęcza, sianiały się po ziemi, jakby się w nią wgrzebać chciały, a całe pola białych narcyzów patrzyły w bezmyślnej rozpacz, krwawymi oczyma przed siebie.

Białe narcyzy, z oczyma, co słupem stanęły i krwią zachodziły, krwią, co z wolna ściekała po smukłych łodygach...

A ponad tą wielką białą, krwawymi łzami zaszłą równiną wybiegły dwie wiotkie, wyniosłe łodygi; dwie białe gwiazdy zakolysały się w powietrzu, pnąc się coraz wyżej, wdarły się rozkoszą nadziei w ciemne gąszcze nocy, stuliły główki, a oczy ich wpatrzyły się w milczeniu świętych przeczuć w siebie.

Ale naraz wypełzał złoty wąż w górę, czołgał się z wolna wzdłuż wiotkich trzcin białych narcyzów, okręcił się wokół pierścieniem, oplótł je złotą błyskawicą swego ciała, wyprężył się i kurczył, piął się coraz wyżej, a z małego pyszczka wybiegły dwa długie żądła, dwoje rubinowych oczu zachichotało migocącym blaskiem, — już sięgał białych listków kwiatu, już wpijał swe żądło w milczące oczy narcyzów...

Zerwał się z łóżka.

Cóż to? Więc to nie był sen?

Na biurku tkwiły w wazonie dwie długie łodygi narcyzów z dwoma ogromnymi kwiatami. Wokół nich wił się wąż w dziwnie pokurczonych splotach, wyprężywszy wysoko gibką szyję z małym łebkiem, w którym lśniła głęboko osadzona para ócz<sup>37</sup> rubinowych.

Podszedł do biurka zdziwiony — dwa ogromne kwiaty dyszały jakimś namiętym żarem, jakąś rozkoszną pieśczętą w silnym oplocie brązowego węża.

Wyjął łodygi z brązowych pierścieni, wziął chłodny metal węża do ręki, przyciskał go do rozpalonych skroni, głaskał go, przesuwając wzdłuż ciała, położył na biurku, patrzył długo na niego, — znowu go brał do ręki.

Zdawało mu się, że to żywy wąż został wrzucony do masy jakiegoś roztopionego metalu, i tam stężał w skurczach śmiertelnych.

Spojrzał na narcyzy: oczy ich nieruchomo w niego wlepione z jakimś wielkim smutkiem, z jakąś nieprzebraną tęsknotą. Czuł, że te milczące oczy żyją, że wdrażają się wielkim pytaniem w jego oczy, szukają odpowiedzi, pragną, by do nich przemówił, by je do serca przytulił i pieścił.

Czyżby się sama zakłęła w kwiaty i w tego węża?

Przesyciła je swym oddechem, rozpieściła tęsknotą swego ciała, upoiła rozkoszą swoich ust?

Całował długo milczące oczy narcyzów; zdawało mu się, że wielkie, ciężkie powieki zamykają się w drżącym pragnieniu, rozkoszą obezwładniona głowa w tył się przechyla, rozpalone usta się otwierają, szukają jego ust, wpijają się nagle z gwałtowną żądzą i ssą krew z jego warg.

Brązowy wąż w jego rękach zaczął nabierać życia i prężyć się; a naraz oślizgł mu się wzdłuż piersi, oplótł go lubieżnym, drgającym ciepłem jej ciała, tarł się o niego, znowu go obejmował i ścigał, ścigał stalową obręczą. — Ale nie! — to już nie był wąż, to była ona — czuł jak się pierścienie jej członków rozluźniały i znowu ścigały w bolesnych uściskach; wzdłuż jego ciała drgało jej dyszące pragnienie, gdyby krzyczące błyskawice w poświacie burzy, jej serce biło mu o piersi ostrymi skrzydłami<sup>38</sup>, usta jej wgrzyły się w jego szyję i w coraz namiętniejszych splotach, uściskach wtuliła, wwinęła go w siebie....

---

Porwał się i patrzył błędnie w mrok pokoju.

Jestem chory, pomyślał, — ścisnął kurczowo brązowego węża i gryzł łodygi narcyzów.

Nie wiedział dokładnie, co się z nim dzieje.

<sup>37</sup>ócz — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>skrzydły — dziś popr. forma N. lm: skrzydłami. [przypis edytorski]

Czuł tylko znowu olbrzymią posowę<sup>39</sup> nocy, roztoczonej nad nim w kształt kamiennych sklepień gotyckich.

Było ciemno; tylko dwie wielkie, białe gwiazdy narcyzów ślaniały się na wiotkich trzcinach lodyg wysoko ponad równiną białego, łzami zaszłego kwiecica.

Darł się przez gęszcze potwornych roślin, co, zda się, wszelki jad ziemi, wszelką truciznę wszechświata w siebie wchłonęły.

Błądził po mokrych zaroślach, wśród krzewów słodkogorza<sup>40</sup>, co fioletowym kirem żaloby oplątały jego nogi, szedł wzdłuż plotów wilczojagody, co kwitły złowrogą czernią lśniących gron; lodygi szaleju wykrzykiwały brudnym, popielatym kwiecikiem upiorne czary; a po przydrożach straszły go bielmem zaszłe oczy dziedzierzawy; były go po twarzy wysokie byliny blekotu; oślepiały go jaskry, co się paliły płomiennymi językami ogniów<sup>41</sup> halnych.

Szedł przez tajemniczą a lubieżną senność wielkich pól maku; przedarł się przez białą równinę kwiecica narcyzów; słyszał, jak w głos zaśmiały się dwie gwiazdy, co się kołysały na wysokich prętach; zabłyśły mu w oczach dwa rubiny złotego węża, co te dwie lodygi oplótlł namiętym pierścieniem jej ciała, — aż naraz stanął przerażony:

Zewsząd ścieśniała się przestrzeń, z odległych dali biegła ku niemu, zwężała się i ścieśniała wokół niego, okoliła go murem i ujrzał się w jakiejś tajemniczej sali, coś w kształt świątyń eleuzyńskich<sup>42</sup>, w których się odbywały dziwne misteria; coś w kształt hali, w której półbogi germańskich północy mieszały w świetle zorzy<sup>43</sup> polarnych swe tajne narady; to znowu zdawało mu się, że jest w podziemnych pieczarach Indyj<sup>44</sup>, w których kapłani Thuggów do oczu ofiar przysadzają jadowite żmije; to znowu widział się w gotyckiej kaplicy księżęcej warowni, gdzie świętokradzcy mnisi odbywali wśród najdzikszych orgij<sup>45</sup> obłąkanych potępieńców na ciele nagiej kobiety swe sabbathy<sup>46</sup> szatańskie.

Patrzył zdumiony.

Z sklepienia wisiała lampa wysadzana rubinami, brylantami, szmaragdami, wielkimi jak pięść chryzolitami — a poprzez czystą wodę drogich kamieni lała się toń czarodziejskiego światła, światła dogorywających rubinowych słońc, zlanego z zieloną rozwieżą miliardów błędnych ogników.

I w strasznych czarach światła, — które może kiedyś ziemię w twórczy szal smagało, kiedy jeszcze kipiła odmętami warów<sup>47</sup> i ogni, — ujrzał wzdłuż ścian miast<sup>48</sup> gżemu<sup>49</sup> dziwny ornament.

Jedna i ta sama głowa kobieca z coraz to innym wyrazem, innym smutkiem, inną namiętnością, innym pragnieniem.

To jej głowa i cała nieskończona pieśń jej duszy, myślał zdumiony.

Widział ją czystą, i niewinną, jak dziecko z oczyma białej tuberozy — cichą, jak odblask gwiazd w czarnej toni — łagodną jak echo fletni pastuszych w nocach wiosennych, odorzonych zapachem kwiecica bżowego —

to znowu smutną i rozbolełą jak kwiat czarnej róży w duszącym upale sierpniowej południcy; tylko czasami szarpnie się wielki krzyk z duszy jak dźwięk dzikiego akordu, co przerywa rozpaczną zadumę trawy kołyszącej się na pustych stepach —

to znowu żądną i spragnioną, jak pęk kwiecica makowego, ślaniającą się w odorzeniach oddania się; jak gdyby przez senne, rozkoszne marzenie przewił się wąż gorących, namiętnych tonów, dyszących żądzą i żarem pragnienia.

Raz widział jej oczy zaszłe mgłą upojenia, to znowu rozpustne i wyzywające, jakby były spowite czarem indyjskich konopi. — Na jednej twarzy widział usta jej jak kwiecie

<sup>39</sup>posowa (reg.) — sklepienie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>słodkogórz — psianka słodkogórz, półpnącze o fioletowo-żółtych kwiatach i czerwonych owocach, roślina trująca. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ogniów — dziś popr. forma D. lm: ogni. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>eleuzyński — dziś: eleuzyjski. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zorz — dziś popr. pisownia D. lm: zórz. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Indyj — dziś popr. forma D.: Indii. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>orgij — dziś popr. forma D. lm: orgii. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>sabbath — dziś popr. sabat (tu: spotkanie czarownicy). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>war — coś wrzącego, kipiącego. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>miast — tu daw.: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>gżems — dziś popr.: gżyms. [przypis edytorski]

róży mistycznej — inne rozpasaly się krzykiem otwartego kielicha orchidei, — znowu inne, dumne i pyszne, z wargami wydętymi w kształt kwiatu jasnoty lub wyżlinu<sup>50</sup>.

Cały nieskończony szereg główek — jednej i tej samej główki — we wszystkich wyrazach i przemianach: cała nieskończona skala smutku, od pierwszego drgnienia tęsknoty aż w głębie odmětnych rozpaczy — cała nieskończona pieśń miłości, od pierwszego pędu serca, co rumieńcem twarz zalewa, poprzez wszelkie tęsknoty i nieświadome pragnienia aż w czelustne piekło rozpasanych demonów żądź — cała nieskończona burza obłędu, od pierwszej myśli, co na podobieństwo jadowitego pająka wszystkie inne usidla, aż w czarne odměty, gdzie się dusza gubi i w drobne skorupy rozbija...

A nagle poczęły się te wszystkie głowy wylaniać: widział ramiona wyciągnięte ku niemu, postacie schodziły, zlewały się, wyskakiwały ze ścian, rzucały się na niego; piekielny śmiech, chichot, płacz, jęk, przerażające krzyki i skowyczące wycie rozległo się po sali, odbiło się tysięcznym echem po ścianach połamanych w tysiące kątów; oplotły go lubieżne ciała; zawisły mu na szyi, stłaczały go w dół, porywały go w ramiona i podrzucały w górę; rozpasala się wokół straszna orgia nagich członków, potwornych splotów, dzikich podrywów, — lecz w tej samej chwili rozwiął się majak szatański...

Ujrzał ją w krzyż rozpiętą na ścianie w całym przepychu jej piękności; ramiona jej owiły miast naramienników złote węże, złote węże oplatały kostki nóg, a biodra opasała złota przepaska, zamknięta na łonie kwieciem lotosu, wysadzonym drogim kamieniem.

Patrzała na niego przymrużonemi oczyma; spoza długich rzęs wybiegały lubieżne węże kuszeń i wabień; kołysała się z rozkoszną pieszczotą na krzyżu i szeptała gorącym głosem:

Pomnisz, jak mnie ojciec mój przywłókl przed twój tron naga, pełną wstydu i lęku?

Pomnisz, gdyś siedział na tronie drżący, spragniony i wyciągałeś ku mnie twe stęsknione ramiona?

Byłam czysta jak kwiat lotosu<sup>51</sup>, kiedy Boga rodził<sup>52</sup>: tyś rozbił świętą lampę mej duszy, rozlałeś w moje żyły zamknięty żar, przepaliłeś mi duszę aż do dna jadem żądzy i namiętności, a potem ukrzyżować kazałeś.

Głos jej stał się naraz dziki i namiętny:

Pomnisz, kiedy rzezańcy twoi wbijali złote gwoździe w białe lilie mych ramion — krew tryskała promieniem, a jam ci urągała, plułam przekleństwa w twoją twarz, wgrzyłam jad zemsty w twoją duszę...

Chodź, chodź, biedny niewolniku krwi, którąś w szal rozsmagał w objęciach moich — chodź w piekło i rozpustę, którą w sobie rozpasalam — ukrzyżowałeś mnie, a tarzasz się przede mną...

Przyczołgaj się do moich stóp, bliżej — bliżej!

Czołgał się ku niej, chwycił oburącz jej nogi, porwał ją w wściekły uścisk...

I rozległ się krzyk:

Asztaoth! Asztaoth! Matko piekła i rozpusty...

Lecz w tej samej chwili przewiał wzdłuż jego czoła świetlany, nieskończenie czysty oddech liliowej dłoni...

---

Bał się otworzyć oczy, bał się, że to znowu sen — tylko już anielski — sen wniebowzięcia...

Zniknęły mary i szatańskie zmory; czuł tylko, jak dłoń jej gładka czoło jego, jak raz po raz zamykała mu cichymi ustami<sup>53</sup> otwierające się oczy, a jedwab jej włosów sphywał pieszczącą falą po jego piersiach.

Czuł jej rękę w swej dłoni, czuł dwie gwiazdy jej oczu, rozlewające się świętą łaską w jego sercu...

To ta — tak, to ta cicha, ta smutna, ta jasna, która go teraz owiała — to ta, co mu dała kwiaty...

---

<sup>50</sup>wyżlin — lwia paszcza, roślina ozdobna. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>czysta jak kwiat lotosu — lotos jest uważany za wyjątkową roślinę, ponieważ jego kwiaty i liście mają właściwość samooczyszczania się, co nauka nazywa efektem lotosu. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>kwiat lotosu, kiedy Boga rodził — motyw bóstwa wylaniającego się z kwiatu lotosu pojawia się zarówno w mitologii starożytnego Egiptu, jak i Indii. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>usty — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

---

---

Było już późno w południe, kiedy zmęczony, strawiony gorączką, zwiłkł się z łóżka.  
W uścisku brązowego węża konały dwie lodygi narcyzów.  
Dlaczego unika mnie, czemu ucieka, kryje się przede mną? myślał zrozpaczony.  
Myśli się plątały, tysiąc domysłów skrzyżowało się w jego mózgu, tysiąc postanowień,  
tysiąc błyskawic prześlizgło<sup>54</sup> się przez duszę, ale w końcu padł wyczerpany na krzesło:  
nic nie rozumiał.

I przemyślał wszystkie męki, wszystkie szaty i obłądy, jakie przecierpiał od czasu, jak  
mu dała te kwiaty...

Ból się w nim wezbrał i jakaś dzika, nagła nienawiść.

Na krzyż ją wbić każe, na krzyż, powtarzał z błędnym uśmiechem.

Zamknął oczy i z rozkoszą pastwił się przedśmiertną męką swej niewolnicy:

W olbrzymim dziedzińcu pałacowym, gdzieś w Ekbatanie<sup>55</sup>.

Wokół stali jego wojownicy, w ciężkich srebrnych hełmach; mieniły się w słońcu  
złote łuski ich pancerzy oślepiającym blaskiem, a oczy ich białeły złowrogim błyskiem  
krwiożerczych zwierząt...

Naraz zarykły<sup>56</sup> złote trąby trzykrotnym straszonym jękiem: z wrót pałacu wlekli rze-  
zańcy biedną niewolnicę.

Była obłąkana z przerażenia; z ust ściekał promień krwi, wywróciła się w znak<sup>57</sup>; czarni  
niewolnicy pochwycili ją za ręce i wlekli poprzez rozpalone płyty do stóp krzyża...

Król zamknął oczy i skinął.

Pochwycili ją w ramiona, podzucili na hebanowe drzewo krzyża; kat ujął jej ręce,  
podtrzymał ją w pasie, rozległ się stukot młota...

Lecz w tej chwili ryknął król z bólu, jak rozszalałe zwierzę.

Zerwał ją z krzyża, tulił jak dziecko w swych ramionach, po szatach jego ściekała krew,  
całował jej rany — szalał w rozpacz; rzeźniców, co śmieli jej dotknąć, kazał w ćwierci  
rozrywać, zrobił z niej bóstwo i kazał jej składać ofiary...

Okrucieństwo

---

Boże! jak ją kochał, tę swoją niewolnicę, on biedny niewolnik...

I długoż miał się tak męczyć?

Nagle postanowił wyrzucić ją z serca, nigdy już o niej nie myśleć, wyrzucić kwiaty  
i wstążkę, i węża, by mu jej nie przypominały.

Ale gdy nadszedł mrok, pobiegł przed dom, w którym mu wczoraj znikła, i czekał...

Ujrzał ją wreszcie, jak wyszła z bramy, — obejrzała się dookoła — nie zobaczyła go.

Szedł za nią.

Skradał się, by jej nie spłoszyć, by mu nagle z oczu nie zniknęła, zaledwie śmiał od-  
dychać — szła szybko, jakby czuła, że ktoś za nią idzie — coraz szybciej; wśród mrocznej  
alei rozkwitłych akacji<sup>58</sup> migotała jej jasna suknia — był już pewien, że ją z oczu straci  
i naraz podbiegł ku niej, stanął naprzeciw niej, w pół nieprzytomny, nie wiedząc, co robi...

Stała przestraszona i patrzyła na niego niemym wzrokiem...

— Bałem się, że panią z oczu stracę — szepnął wreszcie — biegłaś pani tak szybko...

Odetchnął z trudnością i zamilkł.

Szli wolno obok siebie.

Odzyskał równowagę:

— Nie wiem, jakim sposobem odważyłem zbliżyć się do pani, zastąpić jej drogę, ale  
w chwili, kiedy to zrobiłem, nie wiedziałem, co się ze mną działo...

Spotkanie

---

<sup>54</sup>prześlizgło się — dziś popr.: prześliznęło się a. prześliznęło się. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Ekbatana — w starożytności (VIII–VI w. p.n.e.) stolica Medii, organizacji państwowej indoirañskiego ludu  
Medów; dziś Hamadan w pln.-zach. Iranie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>zarykły — dziś popr.: zaryczały. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>w znak — tu: na wznak, na plecy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>akacji — dziś popr. forma D. lm: akacji. [przypis edytorski]

Zamilkł na chwilę, i znowu rozpoczął mówić szybko, urywanie, jakby chciał od razu wszystko sobie z serca zrzucić:

— Pani nie wie, jak ja pani szukałem. Dniami całymi włóczyłem się po wszystkich ulicach, wszystkich kościołach, po parkach i alejach, by pochwycić tylko jedno spojrzenie pani — najdalszy przeblask, najtajniejszy oddech pani. — Nie znałem cię, nie widziałem cię nigdy przedtem, ale wiedziałem, że cię wśród miliona kobiet wyszukam. Ta, która mi kwiaty dała, która mi swe oczy w duszę wcałowała, tylko tak, li tylko tak wyglądać musiała, jak pani.

Szła coraz szybciej, a on błagał, szeptał namiętnie:

— Jak ja cię kocham, jasna, jedyna moja. Jesteś ziemią, moją pieśnią, jesteś wszystkim, co we mnie piękne i czyste, i głębokie... Mam cię w sobie jak święte słońce; w odmętach mej duszy płoniesz jak odbicie potężnej gwiazdy na burzy oceanu; twoje oczy jak dwie gwiazdy tuberozy, a co noc oplatasz wiotką wikliną twych gibkich członków ciała moje.

Stała drżąca, oddychała szybko, spuściła głowę głęboko na piersi.

— Ile razy miałem cię w mych ramionach, ile razy pieściłem twoją główkę, ile razy całowałem twoje oczy, podrzucałem cię na piersi i piłem nieziemską rozkosz z ust twoich!...

Schwycił ją za rękę. Drgała jak serce, świeżo z piersi wyrwane.

— Powiedz mi choć słowo, jedno słowo. Ja wiem, ty mnie kochasz, musisz mnie kochać, bo kto się tak zaklął w kwiaty, którym<sup>59</sup> kochał, całował, tulił i pieścił, ten przecież musi kochać.

A ty wiedziałaś, wiedziałaś dobrze, że dając mi kwiaty, dajesz mi siebie.

Zamilkł, patrzył na nią błagalnie, pełen lęku i smutku.

Nic nie odpowiedziała, wysunęła z wolna swą rękę z jego dłoni i szła cichym krokiem naprzód.

— Powiedz mi choć jedno słowo, błagał. Jeżeli chcesz, nigdy już słowa do ciebie nie przemówię; pozwól tylko, że z dala będę mógł iść za tobą, że raz po raz pochwycę twe jedno spojrzenie, że postać twa, muzyka twych ruchów, twych linii<sup>60</sup> i kształtów spłynie bezgraniczną rozkoszą wzdłuż moich nerwów.

Pozwól, pozwól — ty nie wiesz, jak się męczę, jakie błędne sny mnie w szal wprowadzają; dziś w nocy zdawało mi się, że... że... wikłał się i płał, męczył się niesłuchanie, wyrzucał słowa z trudem, gubił się, zapominał, o czym jej chciał mówić:

— Powiedz mi przynajmniej, że mam odejść; jedno słowo mi powiedz...

Po jej twarzy spływały duże łzy, ale ani jedno drgnięcie twarzy, ani jeden ruch nie zdradzał, że płacze. Płakała cicho krwią serca, płakała, jak płacze biała mewa, gdy się z daleka zabłąka i drogi z powrotem znaleźć nie może.

Czuł, że świat się w nim zapada. Jakiś straszny, beznadziejny smutek zlewał się w głębie jego duszy, coraz silniej, coraz głębiej — szedł obok niej jak w chwili ostatniej zagłady, kiedy już słońce na zawsze zagasa, a wieczna noc rozciąga się nad ziemią w kształt ciemnych, wilgotnych sklepień gotyckich.

Szedł, a zdawało mu się, że idzie na kraniec świata, by się przeprawić na tajny brzeg nieznanych krain, gajów śmierci, uroczysk strasznej, skamieniałej ciszy, zastygłego powietrza, w którym zawisły wielkie, nieruchome ptaki bez życia.

Coś z niego przelewało się w nią, może uczuła ten sam beżmierny smutek, to samo przecucie wiecznej ciszy śmierci, lęk przebiegł dreszczem przez jej ciało, wsunęła swe ramię w jego, przytuliła się lekko do niego.

— Boję się — szepnęła cicho.

Patrzeli chwilę prerażeni na siebie. Oddech zaparł się im w piersiach w oczekiwaniu czegoś strasznego.

I w tej samej chwili przewaliła się olbrzymią falą cała jego Golgota ostatnich dni, cała męka, jaką przeżył. Jakiś dziki gniew rozpałił mu się wściekłym słońcem w głowie, schwycił ją wpół nieprzytomny za rękę i szeptał wściekłym głosem:

— Każę cię na krzyż wbić! Na krzyż!

<sup>59</sup>którem kochał — dziś: które kochałem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>linij — dziś popr. forma D. lm: linii. [przypis edytorski]

Stała chwilę błędna z przestrachu, drgała gwałtownie, — wyrwała się naraz z żelaznych kleszczy jego rąk i biegła szalonym pędem przed siebie.

Patrzył za nią, ale cały świat zakołował mu w oczach, prysnęły błyskawice, jakieś słońce zaczęło się łamać, trzeszczeć...

I nagle, jakby go ktoś kosą podciął, padł bez jęku na ziemię.

---

Minęło wiele dni i nocy.

Zamknął się. Nikogo nie dopuszczał do siebie.

Bał się wyjść na ulicę, bo wiedział, że ją spotka, czuł, że go szuka, że błądzi całymimi dniami i szuka go, jak on jej szukał.

A gdy wyszedł o zmroku, to skradał się po cichu wzdłuż domów, wzdłuż drzew ciemnych alei. Bał się każdego szelestu; każdy odgłos kroków go przerażał, bo wszystko, co go otaczało, cały świat wspomnień i myśli, cały świat poza nim stał się nią.

Nie wiedział, dlaczego się jej boi. Czuł tylko, że gdy ją spotka, stanie się coś straszego.

A nigdy jeszcze tak za nią nie tęsknił; nigdy tak nie szalał.

Kiedy świat głuchł w bezmiernej ciszy; z gwiazd wykwitła cicha łaska światła, a między liściem przekwitłych kasztanów krwawił się bolesny smutek miesiąca<sup>61</sup>, — wtedy, ach, wtedy wyciągał ku niej swe ręce w rozpaczonym krzyku, wił się na ziemi w dzikim kurczu, czołgał się ku niej, bo zdawało mu się, że ściany się rozstąpić muszą, a owiana wonią wszystkich kwiatów, jakie w swych snach przeżył, spowita nieziemskim czarem niebieskiego przepychu, spłynie ku niemu i obejmie w świetliste dłonie jego rozpalone skronie, przytuli, przypieści go do swego łona.

Albo nie! Raczej spłynie na niego niewidzialną łaską ciszy i ukojenia, rozleje się w nim zapomnieniem i duszę mu w ciche rozkosze białych snów rozśpiewa.

Albo też najdzie go słodkim echem dalekich dzwonów, co mu w duszy zielone kobierce jego rodzinnych łąnów rozściela, serce mu upoją odblaskiem dziecięcych wspomnień, kiedy jeszcze na łonie matki śnił o cudach, co się w dziewiczej piersi mieszczą, marzył o pieśni, jaką się rodzinne jezioro w północne czary kołysze i widział ptaki, co nad tajemniczymi grobów kopcami z szeroko rozwartymi skrzydły<sup>62</sup> w powietrzu zawisły, i widział ogrody pełne czarnych drzew, z których wykwitwały olbrzymie kiście złotego kwiecia.

Tęsknił, krzyczał za nią i bał się jej.

Raz zdawało mu się, że widzi ją przez okno. Przytuliła twarz do szyby i patrzyła na niego oczyma, jakimi dogorywają dwie bliźnie<sup>63</sup> gwiazdy.

To był ból, co już nie miał ni mocy, ni krzyku, ni jęku. Tylko już dogasająca, tłąca się jeszcze głównia na spopielonym ognisku. Tylko już ostatnie pryskanie gromnicznego światła przy katafalku, z którego trumnę do grobu zdjęto. Tylko już ostatni poświat wiatru, co opadł na ziemię i złamany włóczy się wśród nagich ściernisk jesiennych pól.

Patrzył przerażony, cofał się w tył z oczyma nieruchomie<sup>64</sup> wlepionymi w tę przezroczą<sup>65</sup> twarz i te dwie gasnące gwiazdy; oparł się, drżąc, o ścianę; biała płachta jakiegoś złowrogiego widma przewiała mu przed oczyma; spojrzenie, to straszne spojrzenie tam, poza oknem wsiąkło gryzącym, wściekłym bólem w jego żyły, — naraz znikło wszystko i z bezmiernym lękiem patrzył w ciemną noc pozamieścia<sup>66</sup>.

To znowu czuł ją tuż poza sobą, kiedy siedział przy biurku i próbował pracować.

Wiedział, że gdy się obróci, zaprzepaści się w głębiach tych strasznych, bolesnych oczu, a może ssący ich ogień wypali mu źrenice, może go pochwyć jakieś upiorne kleszcze

Strach

Wzrok

Wampir, Kobieta  
demoniczna

---

<sup>61</sup>miesiąc (tu daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>skrzydły — dziś popr. forma N. lm: skrzydłami. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>bliźni — tu dziś: bliźniaczy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>nieruchomie — dziś: nieruchomo. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>przezroczy — przezroczysty, przejrzysty. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>pozamieście — dziś: przedmieście. [przypis edytorski]



i zduszą go, stłoczą na ziemię — potworne widmo klęknie na jego piersiach i zmusi go patrzeć w głębokie jamy oczne, w których goreje piekielny żar.

I siedział nieruchomie, pełen dzikiego przestachu, włosy jeżyły mu się na głowie, bał się ruszyć, bał się oddychać, krzyknąć, bo wiedział, że najdrobniejszy ruch zabić go może...

Tak minęły dni całe i noce całe...

---

Aż wreszcie ból się przełamał — i w duszy swej zmógł swą straszną tęsknotę.  
Musiał tylko jeszcze powiedzieć jej coś na pożegnanie, wyśpiewać ostatnie słowo...

---

Kiedy wchodził na estradę, nie widział nikogo; czuł tylko oddech tysięcznego tłumu, jak się olbrzymią falą przelewał po sali; w oczach mu rozkwitło zielonym blaskiem światło olbrzymich pająków<sup>67</sup>; mózg się na chwilę rozmajaczył jakąś ciemną myślą o niej — chciał spojrzeć tam, gdzie wiedział, że siedzi i patrzy na niego, ale naraz świat cały znikł mu z myśli i stała się ogromna cisza w duszy jego.

Cisza przedstworzenia...

Spod palców jego wybuchła nieludzka pieśń:

Był tym, co siedzi na Golgocie u stóp całej ludzkości, na krzyżu rozciągniętej. Całe wieki męczarni i bólu, cała wieczność strasznych cierpień, krzyków za odkupieniem, rozpacznych przekleństw i potępięczego wycia za chwilką szczęścia przewaliła się huraganem błyskawic przez jego duszę. Cały żywot wszechstnienia rozpał się piekielną męką w jego sercu — i siedzi u stóp krzyża i patrzy w czarną noc, a nad nim czarnym kirem zakryte słońce.

Był tym, co wściekłą pięścią wali o wrota niebieskie, klnie Przeznaczeniu, co mu żyć kazało, kłać się w błocie i śmieciach, opluwać się z wstrętem i wzdrygi tarzać się w ohydnych piekle wiecznie głodnych żądz. Wściekła niemoc zemsty rozszalała się w jego głowie, a z zachrypłego gardła rwie się dziki, straszny krzyk: Gdzież koniec, a gdzież początek — gdzież przyczyna i gdzież cel?

Był tym, co z błędną gwiazdą na czole, a z krwawą pochodnią w dłoni prowadzi lękliwy, przerażony tłum za sobą. Poprzez gąszcze ciemnych nocy przedziera się wśród wszystkich strachów i dziwów do podziemi, gdzie są ukryte nieznanne, wysnzione, przeczute skarby. Idzie naprzód dumnie i rozpacznie, prowadzi za sobą ciemny tłum, a w sercu swym pyta się: Ażali<sup>68</sup> je znaleźć? Wszak je im przyrzekłem, jak długo jeszcze błądzić będę?

I w tej chwili był Wszechstotą. Potężny Bóg, co się rozbił w miliardy gwiazd, rozczłonkował się w miliardach stworzeń, rozłamał się na części i cząstki, zlał się w nim od nowa, zespolił się, stał się Jednym: nieskończonością uczuć, nieskończonością stworzeń i ziem.

Był Bogiem, olbrzymie słońce niósł w swej piersi, szedł, płynął w górę, coraz wyżej, stracił poczucie swej wszechmocy, woli, istnienia — białe skrzydła rozpostarł od jednego bieguna do drugiego i w godzinie zmierzchu zawisł ciężką zadumą nad światem.

Złamał się gniew i ból życia — skrzepło cierpienie i tęsknota, bo w godzinie zmierzchu spała ziemia.

A tam w dole kołyszą się zboża w sennym upojeniu, a tam w dole rozmajaczyły się puste ugory, a tam w dole straszą po ciemnych bagniskach błędne ogniki, — ach — tam w dole rozesało się niebo w czarnych uroczyskach jezior, a z ich dna wykwitują<sup>69</sup> blade gwiazdy i ścielą po szklistej powierzchni cichy urok zatopionych kościołów...

Zatęsknił — i w tej chwili stopił się Bóg we wieczności<sup>70</sup>.

I znowu szedł — on mąż<sup>71</sup>, z ziemi porodzony, szedł z wielką wiarą, że niesie odkupienie, a wiedział w beznamiętnym smutku, że go ukrzyżować każą... Włókł się zmęczony

Cierpienie

Kondycja ludzka, Los,  
Bunt, Brud

Sztuka, Artysta

---

<sup>67</sup>pająk — tu: żyrandol, świecznik u sufitu. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>ażali, azali a. zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>wykwitują — dziś popr. forma: wykwitają. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>we wieczności — dziś popr.: w wieczności. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>on mąż (tu daw.) — ten człowiek, ten mężczyzna. [przypis edytorski]

z pokrwawionymi nogami, krwawym potem zroszony, z męczeńską Gehenną<sup>72</sup> w swej piersi...

Czuł, że dźwiga coś w swoich ramionach, niesie ostrożnie i z wielkim trudem — ale nie widział nikogo.

Naraz wystrzeliła w górę wiotka, slaniająca się lodyga tuberozy, z dwiema białymi gwiazdami.

I rozległ się krzyk: Ona!

Tuliła się do niego, oplótła go, wwinęła się w niego jakąś łkającą prośbą, błagalnym, a pełnym lęku spojrzeniem.

Ale on był straszny i nieubłagany.

Szedł przez czarne odmęty, przez wściekle i spienione bałwany kłębiących się chmur, szedł przed tron potężnego Króla życia i śmierci.

Czuła zagładę.

W rozpacznej walce szamotała się z nim, gryzła go, szarpała ostrymi szponami palców, ale nie czuł bólu, szedł zaciekle, straszny — już wylaniała się potworna głowa ojca rozpaczy i rozpusty, już miał ją rzucić mu pod nogi w ofierze, ale naraz zwinęła się jak wąż, oślizgła<sup>73</sup> się wzdłuż jego ciała, zachichotały rubinowe oczy, zakolysały się nagłym śmiechem dwie lodygi narcyzów, prysły ciemności...

---

Zmrok zaległ w pokoju.

Coś jakby szelest sukni, jakby przeblysłk dwojga żarem dyszących oczu.

Zerwał się przerażony.

Nie to nie był sen. To ona — ona krwią, ciałem...

Stała oparta o ścianę i oddychała głęboko. Patrzeli na siebie niemi, przestraszeni...

— Przyszedłem do ciebie... — szepnęła. — Przyszedłem — tęsknota i pragnienie strawiły mnie.

I osunęła się w jego ramiona.

---

O, upojeń godzina — godzina cudu, kiedy dwie dusze w jedną się zleją, dwa ciała w jedno się splotą...

— Lękasz się grzechu? — pytał gorącym szeptem.

— Kocham grzech, kocham piekło — z Tobą — z Tobą...

I obwisała mu w ramionach w oddaniu się bez woli, bez pamięci...

---

I mówił do niej:

— Nie wiedziałem, co to szczęście, teraz wiem.

Z Tobą poznałem szczęście i wielką, nieprzebraną rozkosz.

— Dopełniła się godzina cudu, zaśmiała się błędnym, cichym uśmiechem.

— Nigdy jeszcze nie zdołałem stopić w sobie kobiety, szeptał namiętnie — Ty jedyna krążysz w moich żyłach, gdyby<sup>74</sup> złoty wir pyłu słonecznego.

— Godzina cudu, godzina cudu! powtarzała cicho, bijącym szeptem, bezustannie.

Cisza.

— Czemu płaczesz? zerwał się przerażony.

Głaskała jego włosy, tuliła jego twarz w swych drobnych dłoniach dziecka, przyciskała się coraz gwałtowniej do niego, schwyciła oburącz jego szyję, znowu błędziły jej białe palce w jego włosach...

— Czemu płaczesz?

— Z rozkoszy, załkała.

---

<sup>72</sup>Gehenna — tu: piekło, potępieńcze męki. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>oślizgła się — dziś: ześliznęła się. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

Pieścił, tulił, całował, szeptał bezustannie, bezwiednie te same słowa, powtarzał te same zdania, kołysał ją i kołysał tak jak się roztkwilone dziecko kołysze w swych ramionach:

Uspokoila się.

Przytulili się do siebie jak dwoje dzieci się do siebie tuli pod stogiem świeżego siana w chwili, kiedy nad nimi szaleje wściekła burza, a niebo rzuca czerwony posiew gęstych piorunów na ziemię.

— Czy dobrze ci tak? spytał.

— Mój Ty jasny, mój Ty jedyny, mój, mój, mój...

— Tak Twój, tylko Twój...

— Teraz już zawsze pozostaniemy razem, pytał z lękiem.

Nic nie odpowiedziała, tylko długie, palące dreszcze przebiegały jej ciałem...

— Pójdę na krzyż — na krzyż, szepnęła za chwilę. Już we mnie wieczność zbiegła w przepastne odmęty. W godzinie cudu spłynęło całe moje życie... Nie pytaj — weź, przytul, zabij — zabij!

Milczeli długo.

I znowu mówił do niej:

— Pamiętasz, kiedym Cię niósł w strasznych burzach poprzez dziewicze lasy? Niebo się nad nami zarywało — wokół nas tańczyły zielone obręcze błyskawic, olbrzymie gałęzie kokosów i palm spadały z trzaskiem i hukiem zarywających się sklepień, zawały nam piętrzącym się murem drogę; raz po raz rozszczępił piorun tysiącletnie drzewo, tak że szczapy słaniały się na wsze strony, rozpadały się wokół pnia, gdyby olbrzymie liście opadającego kwiatu. Orkan podrzuczał nas, ciskał o olbrzymie pnie, walił na ziemię, a jam się zrywał i szedł, i szedł, padał, czołgał się na kłęczkach, wdrapywał się po stogach połamanych gałęzi, alem szedł, bom Cię niósł na moich rękach, a burza mego pragnienia była silniejsza od wszystkich burz lasów dziewiczych.

Nic nie odpowiedziała.

— Pamiętasz, kiedym z Tobą uciekał poprzez palące się stepy? Wicher ognia szalał poza nami, piętrzył się straszными filarami w niebo, przewalał się rozwścieczonym golfem<sup>75</sup> po stepie, a jam biegł z Tobą, biegł, rozszalały, nieludzkim pędem; byłem silniejszy od ognia, nie dobiegł nas, bom miał Ciebie w moich ramionach, a silniejszy ogień od tego, co się na stepie rozszalał, krążył w moich żyłach.

Nic nie odpowiedziała.

— Pamiętasz, kiedy łódź naszą porwał oblakany malstrom<sup>76</sup>? Jednym kręgiem wiru stoczył ją na samo dno, wyrzucił gdyby kawałek drewna w górę, znowu pochwycił w swoją rozpasaną, rozkołowaną obręcz, i znowu zleciała łódź błyskawicznym lotem spadającej gwiazdy w przepastne leje; znowu, wystrzeliła w górę, gdyby kamień wyrzucony z potężnej procy; i tak po trzykroć razy wzlatywałem, po trzykroć razy opadałem znowu na rozpiętrzonych wichurach wściekłych odmętów wiru, aż wreszcie łódź nasza opadła na spokojniejsze wody, byłem silniejszy od malstromu, bom czuł, jak rękami oplotłaś moje ciało, czulem Twoją głowę na mej piersi, a sam miałem wścieklejszy malstrom od wszystkich innych malstromów: Ciebie — Ciebie — moją miłość ku Tobie.

Patrz! jam jest syn z ziemi porodzony, jestem odwieczny Adam; mam w sercu burzę, silniejszą od burz, co łamią w lasach dziewiczych najpotężniejsze pnie gdyby suche trzciny — w żyłach mam ogień, potężniejszy od tego, co błyskawicą bezprześcienne stepy morzem ognia zalewa — w duszy przepastniejszy malstrom od tego, co największy okręt w miążgę druzgocze i okruchy jego na dnie oceanów rozsiewa:

— Kochasz mnie?

— Jesteś Silny, jesteś Mocny, jesteś Przepotężny...

— To jeszcze nie to, czego od Ciebie żądam.

Więc słuchaj:

<sup>75</sup>*golf* (z niem. *Golf*: zatoka morska) — tu: wysunięty język ognia. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Malstrom* (norw. *Moskstraumen*, tu przen.) — prąd morski, obfitujący w wiry, wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. Opisywany w średniowiecznych islandzkich Eddach, a także m.in. w utworach Juliusza Verne'a i E. A. Poego. [przypis edytorski]

Jestem tym, co w każdej chwili może zostać królem, rzucić u stóp swych wszystkie narody, zawiadnąć nad całą ziemią, zapanować nad miliardem niewolników; każdej chwili mogę Cię kazać na krzyż wbić i znowu moją wszechpotęgą do życia powołać —

— jestem tym, co teraz jeszcze może się kazać obwołać synem słońca; w świętych gajach pobudują mi potężne świątynie i będą mi ofiary składać —

— jestem tym, który przed Twe oczy może wywołać wszystkie cuda i raje wszystkich czasów i ziemi<sup>77</sup> —

— jestem tym, który przeżył wszystkie cierpienia, bóle i rozkosze całej ludzkości, i ją od nowa odkupić może:

Kochasz mnie?

— Jesteś Bogiem!

— To jeszcze nie to, co od Ciebie posłyszec pragnę.

Więc słuchaj:

A kiedy Cię namiętym rzutem mych ramion na piersi podzucam, a włosy Twe grzywą się najeżą, gibką trzcina Twych nóg me biodra opaszysz, a usta<sup>78</sup> Twoimi wpijesz się w moje —

kiedy krew Ci w piekło rozkoszy smagam, tak że świat Ci sprzed oczu zanika i wieczność cała w jednej chwili się stapia, i bezwładna w moim objęciu opadasz, gdyby gradem smagana łodyga narcyza —

kochasz mnie wtedy?

Zaśmiała się cicho jakąś bezmierną, obłądną rozkoszą, wtuliła się w niego, objęła go rękami, tarła jedwab swych włosów o jego pierś, a potem patrzyła mu długo w oczy; spłynęła cała w jego oczach. Zdało mu się, że całe jej ciało wślizgło<sup>79</sup> się przez jego oczy aż na dno jego duszy; obwinęło się gorącym węzłem wokół jego serca; wtuliło się w każde włókno jego ciała — nie miał już jej przy sobie, była w nim, rozlała się w nim, stopiła się w jego krwi, długim, przeciągłym dreszczem upojenia zbiegła jego nerwy:

Kocham Cię! Kocham! Kocham!

Wzrok

---

O nocy szalów i błędnych upojeń!

---

Czuł przez sen, że się z wolna i cicho obślizguje z jego ramion; przez sen czuł, jak mu krew ubiega, coś z jego duszy spływa —

ale to przez sen...

Czuł, że czyjeś oczy rozkrzyczały się w nim strasznym cierpieniem, że ogniem wi-chrzących gwiazd rozbłysły, a potem nagle zgasły, — raz jeszcze dalekie łyskanie, a potem wielka cisza ciemności —

ale to przez sen...

Czuł, jak gdyby delikatny, pajęczy jedwab włosów przewionął przez twarz jego, — zamajaczył mu w duszy odgłos lekkich kroków —

ale to przez sen...

Ale naraz uczuł w sobie straszną noc — noc, co stężała, skamieniała w powietrzu; i wiedział, że już światło się nie przedrze przez olbrzymie sklepienie nocy, kamiennymi złomami nad ziemią rozrzucone.

Zerwał się przerażony, szukał naokoło siebie, ale jej nie było.

Na chwilę obezwładniał, stężał w strachu; nogi zadygotały pod nim, ale znowu się porwał, jął ją szukać w błędnym przerażeniu. Pierwsze słońce łało niebieskie strugi światła do pokojów; szukał, szukał — zdawało mu się, że ją widzi przecież, że chwyta ją rękami,

---

<sup>77</sup>ziemi — dziś popr. forma D. lm: ziem. Tu możliwe też odczytanie: wszystkich czasów i wszystkij [tj. całej] ziemi. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>usty — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>wślizgło — dziś popr. forma: wśliznęło. [przypis edytorski]

że przecież patrzy w jej oczy, że ma jej słodką dłoń w swych dłoniach, że — o wielki, litościwy Boże — że usta jego spoczęły na jej włosach...

Chwiał się, stawał, to znowu siadał, wreszcie zatoczył się do drugiego pokoju.

Na biurku, na którym wił się miedziany wąż w śmiertelnym skurczu, leżał wielki kwiat czerwonych gwoździków na białym papierze.

Patrzył długo — długo, bezmyślnie na ten papier i na czerwony kwiat, macał palcami, by się przeświadczyć<sup>80</sup>, czy nie śni, wreszcie oprzytomniał.

Czytał:

Idę już, idę, daleko — och, daleko; idę na mękę i na krzyż, na który mnie sam wbiłeś. Godzina cudu się spełniła. Nie szukaj mnie, bo mnie nie znajdziesz. Nie oczekuj mnie, bo na próżno. Idę bez Ciebie, ale nie będę sama: będę z Tobą, z Tobą już na zawsze i będę mi smutno, smutno bez końca...

Nie czytał dalej, zmiął papier i krwawy, czerwony kwiat gwoździków, chodząc błędny po pokoju, a potem padł na fotel, ogłuchł, oślepl na wszystko. Tylko czarne sklepienie nocy nad nim, a w sercu straszny czar upiornej nocy...

---

Pod wieczór oprzytomniał.

Raz jeszcze przeczytał jej list. I wiedział, że godzina cudu się spełniła na zawsze i więcej nie wróci.

Wiedział, że już jej nie odnajdzie.

Wiedział, że już jej oczekiwać nie będzie. Bo wszystko na próżno.

Wiedział to z straszną, przerażającą pewnością, i jakaś wielka, olbrzymia cisza nocy i głębokich ciemności zapanowała w jego sercu.

Czuł w sobie przepotężny, cichy, smutny, a zarazem niezmiernie jasny majestat śmierci.

I z wysoko podniesioną głową wyszedł za miasto.

Szedł za czymś, w czym mu cały świat pogrzebano, całe jego szczęście ukryto, jego przeszłość i przyszłość zakuto.

Szedł za kimś, co go wiódł za sobą, targał, szarpał — szedł chwiejnym krokiem, tacał się, chwilami padał, ale znow się zrywał, bo ktoś go ciągnął za sobą, włókł po ziemi, — a gdy padał, to wkręcał, wwiercał żelazny pazur w jego włosy i zrywał go ze ziemi<sup>81</sup>.

I znowu szedł wielkim, bolesnym krokiem jak ktoś, co już zastygł w bólu i wielkie, skamieniałe lzy niesie w swym sercu.

Nic już nie widział, słyszał tylko ciężkie stąpanie swych kroków, ciężkie, miarowe, jak gdyby był odzian<sup>82</sup> spiżową zbroją: był wielkim wodzem, a stąpanie swe słyszał tysiąc-krotnie, bo za nim szły tysiączne zastępy rycerstwa, w czarną stal okutego.

Szedł na czele poprzez ciemne bory, a za nim rycerstwo z pochodniami.

Nie czuł już bólu, żaden smutek nie mącił mu duszy, słyszał tylko ustawicznie jej słowa, które mu dzień przedtem w godzinie cudu powiedziała, kiedy się coraz silniej i namiętniej do jego łona tuliła:

»Bo jestem pod taką gwiazdą urodzona, że ja jedyna mogę płożyć koniec Twej królewskiej potędze, bo jestem sama jak zbłąkana gwiazda, co się stopiła w żarach Twego serca...«

Powtarzał bezustannie w swej duszy te słowa. Zdawało się, że słowa te, to jej drobne białe ręce, jej ręce, gdy wtulał w nie swą twarz, i czuł na niej odbicie tysiącznych linii<sup>83</sup>, co jej dłonie krzyżowały.

Och, czuł jeszcze na swej twarzy to rozkoszne odbicie linii jej dłoni; całe swe życie, swe serce, swą przeszłość i przyszłość wraziły mu w twarz.

Zdawało mu się, że te słowa, to aksamitna pleć<sup>84</sup> jej ciała — Ach, jak spływało rozkosznym drżeniem wzdłuż jego piersi, jak oplatywało białym jaśnieniem jego ciało!

Żaloba

Prorocstwo

---

<sup>80</sup>przeświadczyć się — upewnić się. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>ze ziemi — dziś popr.: z ziemi. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>odzian spiżową zbroją (daw.) — zakuty w spiżową zbroję. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>linij — dziś popr. forma D. lm: linii. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>pleć (tu daw.) — cera, skóra; karnacja. [przypis edytorski]

I każde słowo żyło, drgało: czuł je na rękę, jak biło; czuł je w żyłach, jak z strumieniem krwi płynęło; czuł je wokół siebie, jak go gorącą obręczą żywego ognia oblewało.

Stało mu się straszno w duszy; wyrwał mu się głuchy jęk z piersi; rozległ się echem po cichych, ponurych borach i z tysiąca krtani wyrwał się przerażający ból, co ziemią zdawał się wstrząsać:

Matko litości!

Ale nie było nad nim litości.

I znowu przełamał się w nim ból i znowu posłyszał jej słowa, które mu powiedziała w godzinie cudu, kiedy jej oczy się rozwarły i z złowrogim bólem się w duszę mu wpały:

»Bo jestem pod taką gwiazdą urodzona, że sama jedyna w przepaść i w piekło wtrącić cię mogę; a sama jestem, jak upadły anioł, któremu dusza się rwie w strzępy za utraconym rajem...«

Stał na szczycie najwyższej góry, a czuł, że za uderzeniem drobnej jej ręki potoczył się i spadał z szczytu na szczyt, z wirchu na wirch<sup>85</sup>, zlatywał po stromych lodowcach, szarpał się w kawały na ostrych rafach skał. W jednej tysięcznej sekundy przeleciało mu się całe jego życie przez mózg, i staczał się coraz gwałtowniej w straszną przepaść — bez woli, bez siły, bez ratunku, aż wreszcie uczuł jakąś dziką rozkosz, że tak leci, tak się szarpie, tak się rozrywa.

I czuł jej moc i czuł jej ból i czuł jej niemoc, bo inna siła trąciła jej rękę.

I po raz trzeci słyszał jej głos, ale już w swym sercu: krzyk gorących dłoni, co się w jego włosach wily, błagalne oploty jej ramion, kiedy jego szyję drgającym uściskiem obejmowały, dyszącą rozpacz jej ciała, gdy się o jego pierś tarło:

»Idę, nie szukaj mnie, nie czekaj na mnie, dopełniła się godzina cudu.«

Pociemniało mu w oczach, nogi się ślaniać poczęły, ryknął z bólu jak raniony zwierzę i padł na ziemię.

Kobieta demoniczna

Seks

---

Zdawało mu się, że się przebudził.

Jechał na olbrzymim koniu poprzez dzikie stopy. Straszliwy upał pożarł trawy, wyszał rzeki i stawy, nic przed nim i nic poza nim, tylko mściwe, do białą rozpalone słońce, i niebo, co w piekielnych żarach płonęło. Iskrzące się mgły, to powietrze, które go otaczało, a rozpalona ziemia syciła ogniem jego rumaka. Szyszak gorzał na jego głowie, a stalowa zbroja ciała mu przepalała.

Jechał w dzikiej rozpacz, bo w ramionach jego omdlewała z pragnienia i żaru mściwego słońca ta, której by własną krew dał do picia.

I coraz wolniej włócił się olbrzymi rumak, co chwila potykał się, padał na kolana, zrywał się znowu, kark mu obwisł, drżał jak osika, zdawało się, że krok jeszcze, jeszcze jeden wysiłek, a musi się wyrzucić.

Ale naraz zarżał radośnie.

Bo otóż wśród tego piekła, tego żaru iskrzących się mgieł i ognia ziemi naraz zielony ruczaj — strumyk.

I już miał ją zesadzić z konia, skropić jej skronie, ale nagle, jakby z ziemi wyrósł, powstał potężny, czarny rycerz, stanął straszny w olbrzymim majestacie, a głos jego rozległ się echem trąby ostatecznej:

Jam jest ten, który kładzie kres wszystkiemu szczęściu i wszelkiej rozkoszy na ziemi.

Jam jest ten, który był ponad wszelkim początkiem i będzie poza wszelki koniec:

Bóg, Szatan, Przeznaczenie!

Wizja

---

Znikło upiorne widziadło.

Spojrzał w dół — w kotlinie u stóp jego to rozkołysane morze dachów, dyszące świetlistą luną światła, to miasto — ale to miasto obce, nie jego miasto.

Nie! to nie jego miasto.

I naraz stanęło mu przed oczyma miasto, wyrąbane w dziwacznych skałach, miasto z poplątanymi w sieci kanałami, miasto śmierci i pustki, miasto, które jego przodkowie jemu, ostatniemu synowi książęcemu wybudowali.

<sup>85</sup>wirch (reg.) — wierch, szczyt. [przypis edytorski]

I znowu patrzył w dół — z straszną pogardą, patrzył w kotlinę na to obce miasto, dyszące luną gazowego światła.

Ale nie! On kochał to miasto, bo tam się dopełniła godzina cudu.

I znowu uczył wielkie, święte słońce w swej duszy:

To ona!

I serce jego wezbrało się nieznaną potęgą, wzrósł w niebo, wyciągnął ramiona i mówił do niej z wielką mocą:

Nie będę Cię szukał, bo mam Cię w sobie, krążysz w moich żyłach, jesteś tchnieniem mej duszy, jesteś prądem mych pragnień, jesteś czarem mych snów, jesteś Mną.

Opadł i po raz wtóry uprzytomnił sobie, On z książąt ostatni, święte miasto, miasto śmierci i pustki, oblane strumieniem, co dzikie skały porozrywał, w granitach sobie wyrył łóżysko, by tylko opasać matczynym ramieniem ukochane dziecko; i po raz trzeci spojrział na to obce miasto, w kotlinie, u stóp swoich.

I mówił do niej i do siebie:

Jesteś słońcem, rozlanym we mnie. Ilekroć razy<sup>86</sup> zechcę, staniesz przede mną i będziesz moją. Ale nie tu. Większy cud się dopełni tam, gdzie moje miasto się piętrzy na dzikich skałach, gdzie święty strumień wichrzy się i pieni głęboko w skalistych bezdnach i w podziemne kanały ciska kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego...

Nad jego głową rozbłysła wielka, zielona gwiazda, co go wraz z jego słońcem miała powieść do nowego Syjonu, nowego Ierusch-Halaim<sup>87</sup>, do odwiecznego Alkazaru<sup>88</sup> jego przodków — tam, gdzie wśród wiecznych mroków śmierci miał się dopełnić większy cud...

---

## ANDROGYNE

Stał przy oknie Alkazaru<sup>89</sup> i patrzył<sup>90</sup> na dziwne miasto — miasto, które mu ojcowie jego przed tysiącem lat zbudowali.

Była noc księżycowa, a w upiornym świetle straszły kształty i kontury miasta, co się dziwnie połamana płaszczyzną dachów u nóg jego rozścieliło.

Zdawało się, że ziemia się zatrzęsła; gładki, skalisty płaskowyż się połamał i pogiął; olbrzymie skalne złomy się poprzesuwały, wepchnęły się w siebie i popaczyły się.

I rzeczywiście było miasto zbudowane na dziwnie ukształtowanym terenie skalnym.

Był on niby miniaturowy łańcuch gór z tysiącem szczytów, dolin, zrębów, złamów, a na najwyższym szczytynie, wybiegającym wysoko głaźnym<sup>91</sup> stokiem, stał pałac księżęcy, świetny, odwieczny Alkazar maurytański<sup>92</sup>.

Patrzył długo na miasto u stóp swych. I widział tysiące ostrych, czarnych, dziwnie poplątanych konturów ulic, które olbrzymi teren dachów krajały<sup>93</sup> w dziwny rysunek.

Cała ta biała płaszczyzna dachów wyglądała jak święty a tajemniczy ornament, złożony z mistycznych arabesków<sup>94</sup>.

A było to, jakby ręka potężnego maga wyrąbała w białej powierzchni potężnej skały święte runy najgłębszych swych tajemnic.

---

<sup>86</sup>ilekroć razy — dziś popr.: ile razy a. ilekroć. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Ierusch-Halaim — zbliżony do ortografii niemieckiej zapis hebrajskiej formy nazwy miasta Jerozolimy: ירושלים czyt. [Jeruzalajm]. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Alkazar (hiszp. *alcázar*; z arab. القصر, al kasr) — wybudowany przez Maurów warowny pałac w centrum miast hiszpańskich (Sewilli, Toledo, Kordobie i in.); tu przen.: serce miasta, siedziba władcy. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Alkazar (hiszp. *alcázar*; z arab. القصر, al kasr) — wybudowany przez Maurów warowny pałac w centrum miast hiszpańskich (Sewilli, Toledo, Kordobie i in.); tu przen.: serce miasta, siedziba władcy. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>patrzył — dziś popr. forma 3os. lp cz.przesz. r.m.: patrzył. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>głaźny — kamienisty. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>maurytański — dziś popr.: mauretański. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>krajać — dziś: kroić. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>arabesków — dziś popr. forma D. lm: arabesek. [przypis edytorski]

Z wyżyny Alkazaru wyglądało miasto, jak gdyby nie było budowane, ale w kamieniu wydrążone.

Przed jego oczyma rozścielało się miasto gdyby<sup>95</sup> straszny olbrzymi grób katakomb<sup>96</sup>, opanowany Alkazarem, co wyniosłe, poważnie i surowo smukłymi wieżycami wystrzelał w niebo ponad miastem.

Dreszcz przeszedł mrowiem przez niego, kiedy pomyślał, że zstąpi do tych katakomb.

Znał wprawdzie wszystkie zaułki, ulice i uliczki, znał ich skręty i sploty, ich krzyżowania i rozstaje; wiedział, że nie mógłby się w tej zawikłanej sieci ulic zagubić, a pomimo tego czuł jakąś tajemną grozę i przestrach, że mógłby się zabląkać, lata całe błądzić w tym labiryncie<sup>97</sup> i nigdy już z niego nie wyjść.

A nie było nikogo, kto by mu mógł pokazać drogę, bo miasto było martwe.

---

W bezmiernym smutku patrzył na to miasto, co go grozą i strachem przepelniało.

A przecież tu, tu miał się dokonać wielki cud.

Tu miał wyłonić ze siebie<sup>98</sup> to, co było dźwiękiem jego myśli, wyrazem jego uczuć, ruchem jego woli.

Tu miał według przyrzeczeń swego serca mieć tą, którą już raz posiadał, którą utracił, a na nowo miał ją tu odtworzyć, ulepić z brył swej najskrytszej piękności, najtajniejszego bytu swej istoty.

Lecz daremnie czekał, daremnie wyteżał swą wolę, daremnie krzyczał i błagał za nią.

Wszystko daremnie.

I na cóż mu te pyszne Alkazary, na cóż te czary i dziwy, to straszne miasto grobów?

Na cóż przebył tyle rzek i gór, i mórz, by tylko dostać się do tego miasta śmierci i mieć ją zawsze przy sobie?

Na cóż kłamała jego dusza, dając mu przyrzeczenie, że tu się dopełni on<sup>99</sup> większy cud, że ile razy zechce, ona stanie przed nim i będzie jego?

I zdjął go straszny strach przed tymi potwornymi dziwami, co go wokół otaczały, i całą duszą zatęsknił do swej dawnej ojczyzny, do tego miasta w głębokiej kotlinie, dyszącego luną gazowego światła, do tych ciemnych alei, po których dniami całymi błądził, kiedy ją<sup>100</sup> szukał, do mrocznych kościołów, do tych wzgórzy<sup>101</sup>, co się poplątanymi pasmami pięły nad miastem i ciemną zielenią spływały w dół gdyby<sup>102</sup> zwoje ciężkiego adamaszku...

Ciężką falą przelały się uroki tej świętej ziemi, kołyszące się łany zbóż w sennym upojeniu; ugory, gdy się rozmajają w letnich nocach; ogniki błędne, co straszą po ciemnych bagniskach — ach — i całe to niebo, co się rozesało w czarnych uroczyskach jezior, a z ich dna wykwitła czar białych gwiazd i ściele po szklistej powierzchni cichy urok zatopionych kościołów...

---

I znowu jął patrzeć na miasto, na wściekły strumień, co w kształcie pętlicy, lub jakiejś świętej Omegi, wrzał i pieniał się wokół miasta.

Głęboko w skalistych bezdnach ciskał się z jednej katarakty do drugiej; kłębił się w wirowatych zatorach i odmętach; zlewał olbrzymie, spienione wód kłęby; rzucał je na iglaste głazy, co ostrym grzebieniem z łożyska sterczały; staczał je w głębokie szczeliny raf, co się w dzikich liniach w granitowy brzeg wcinały; gotował się, pieniał, wyl i pędził, huczał w piekielnym niepokoju w spienionych wirach i rozhukanych tryścach<sup>103</sup>.

---

<sup>95</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>katakomby — dziś: katakumby. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>labirynt — dziś popr. pisownia: labirynt. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>ze siebie — dziś popr.: z siebie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>on (tu daw.) — ten. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>ją szukał — dziś popr.: jej szukał. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>wzgórzy — dziś popr. forma D. lm: wzgórz. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>tryścic — tu: fontanna, gejzer. [przypis edytorski]



Patrzył długo z namiętną jakąś częścią<sup>104</sup> na ten święty strumień, co cały łańcuch gór porozrywał, całe zasieki kamienia przerznął<sup>105</sup>, wykopał sobie ganki i pieczary w głazach z granitu.

W blasku księżycy wyglądał jak strumień z stopionych promieni księżycowych, a tam, gdzie w niezliczonych wodospadach zlewał się w podziemne kanały w granicie wyżłobione, zdawał się ciskać kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego.

Z namiętną rozkoszą słuchał strasznego wycia obłąkanych zatorów, bo takim szalem rozpasła się jego rozpaczna<sup>106</sup> tęsknota; i patrzył na upiorny, ponury blask kataraktów<sup>107</sup>, bo tym blaskiem śniedzi i pleśni przeświecały jego spragnione, gorączkowe sny.

Zatamował oddech, wyprężył się w górę, rozwarł swoje ramiona i chciwie ssał oczyma upiorny cud.

I znowu wezbrało się jego serce nieznaną potęgą jak kiedyś w dawnej ojczyźnie: dziki krzyk rwał mu się z serca, by słońce, które niósł w piersiach, pokazać całemu światu, ale z wolna poczęł opadać ze sił, zdjęła go jakaś miękka a rozkoszna niemoc, osunął się na ziemię:

Stało się coś niepojętego...

---

Był sam, odcięty od całego świata, gdzieś w pośrodku oceanu na wyspie, co olbrzymimi złomami bazaltu ciężko i szeroko na morzu osiadła.

Właściwie był to tylko jeden przepotężny słup bazaltu, w tysiąc kątów połamany wielobok, którego linie ścienne zlewały się w morze gdyby<sup>108</sup> fałdy ciężkiego adamaszku, spływającego z katafalku.

I widział morze wokół wyspy w czasie przyptywu. Fale pienily się, tryszcząc<sup>109</sup> i buchając zziejane<sup>110</sup>; podrzucały się w skłębionych zawrotach i wlewały się na płaskowyż wyspy.

Pomiędzy wyspą a skalistymi rafami, co potwornym wieńcem wyspę okoliły, szalało morze, wypływało, zawracało i gotowało się w wirach i malstromach; na białą pianę zbite wód roztacza<sup>111</sup> skraplały się w górze, wciąż od nowa podrzucane wściekłą siłą. Jak gdyby się roztworzył<sup>112</sup> krater podmorskiego wulkanu i ciskał w górę wiry i kłęby w miazgę zbitej piany.

Patrzył z rozkoszą na te zaciekle zapasy wód, co z jednej i drugiej strony pomiędzy wyspą a długą ławą skał wichrem i szalem na siebie się rzucały. Z jednej i drugiej strony lały się olbrzymie bałwany, ścierały się w środku wąskiego przesmyku, podlatywały w górę, to znowu zwały się w przepastne leje; szalały, wirowały wokół siebie, gdyby<sup>113</sup> płynne ognie gotujących się słońc; rozpryskiwały się wokół gdyby popękane pierścienie planet — ale już lały się z jednej i drugiej strony straszliwe potopy nowych odmętów; przewalały się przez walczące bałwany; coraz nowe, coraz straszliwsze huragany rzucały się w przesmyk: całe morze szalało.

Zza widnokręgów wzdęło się morze w straszliwej potędze, wzniosło się w niebo, opadło, i jeszcze silniej się w górę zerwało; wokół wyspy wzrastał w niebos stropy<sup>114</sup> wał trąb morskich; wyżej jeszcze, wyżej.

Morze się na niebie sklepiło, tryszcząc zawiejami, śnieżną wicherzycą piany — teraz znów ocean gdyby kopuła straszliwych chmur zwiśł nad wyspą, ale wnet złamała się siła,

Morze, Woda, Burza

<sup>104</sup>częścią — dziś popr. forma N. lp: czcią. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>przerznąć (daw.) — przeciąć. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>rozpaczny — dziś: rozpacziwy. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>kataraktów — dziś popr. forma D. lm: katarakt. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>tryszcząc — dziś: tryskając. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>zziejany — dziś popr.: zziąjany. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>roztacza — tu: coś roztoczonego, rozproszonego. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>roztworzyć — dziś: otworzyć. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>gdyby — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>strop — sklepienie, sufit. [przypis edytorski]

co topiel od dna oderwała, pękła kopuła wód i z hukiem spadających światów oberwały się ich chmury, spadły na dno, wyskoczyły gejzerami w niebo, opadły znowu, przewaliły się potopem przez wyspę, zwały się — i cisza zapanowała.

I naraz ujrzał swoje miasto i z wzrastającym zdumieniem patrzył na nowy cud.

To było jego miasto, ale inne, nie z tego świata.

Od stóp Alkazaru wiły się ponad białymi dachami ulic olbrzymie pnie winnych latorośli. Wyrastały z fundamentów Alkazaru, rozrastały się nad całym miastem, pokryły wszystkie ulice, rozgałęziały się w olbrzymim bogactwie; a całe miasto wydawało się jedną czarowną winnicą.

Pnie były z brązu, liście z delikatnej blachy miedzianej, grona winne z ciemnoniebieskiego kamienia. I jak daleko oko sięgało, wiły się w splątanych lianach bajeczne winorośla<sup>115</sup>; na białych dachach krzemienych rozlały się powodzią barw i tęczy miedziane liście i niebieskie grona, a ponad tym wszystkim krzyczało niebo wściekle *Te Deum*<sup>116</sup> światła, słońca i żaru.

Przymknął oczy, bo nie mógł znieść tych blasków i żarów, ale wrażenie zbiegło aż do tajemnych węzłów nerwowych, spłynęło z powrotem do mózgu i naraz usłyszał przeraźliwą symfonię grzmiących trąb, krzyczących fagotów, wyjących basów, piszczących skrzypiec: głowa mu pękała i przerażony uciekał przez cały las kolumn, krył się w najskrytsze głębie swego pałacu i padał na wpół martwy na ciężkich, miękkich kobiercach.

Nieskończona błogość przenikała jego ciało.

Z dawno nieznaną rozkoszą patrzył przed siebie.

Sala była niezmierna; olbrzymia aleja filarów zamykała się gdzieś w dalekiej oddali i tworzyła wąską szczelinę, przez którą się z wolna, leniwo<sup>117</sup> i jakby obumarłe, przedzierało światło.

W tym świetle półświtów, skojarzonych z półmrokiem, w tej miękkiej roztoczy barw i woni, w tym cichym jaśnieniu czerwonych porfirowych kolumn, kojonym niebieskawym oddechem bazaltowej posadzki i ciemnym akordem sufitu z drzewa cedrowego, uczył nagle, że nadeszła wielka godzina...

---

Wieczór zlewał się na świat. Czerwień porfiru lśniła ciemnym blaskiem drzewa hebanowego; święte krowy kapitelów zwały się w bezkształtne cielska; światło, co wąską szczeliną kolumn alei wpływało, gasło, cichło, drżało, gdyby płomień gasnącej pochodni.

W tej świętej chwili powstał i z wolna, z wysoko wzniesioną głową, jak gdyby dźwigał mitrę zdobywcy świata całego, przeszedł przez las kolumn; stanął na granitowym tarasie swego Alkazaru; dusza jego wyłoniła się z pęt ciała i świętą łaską rozlała się nad miastem i oceanem w bezbrzeżnym szczęściu.

Liść miedziany pociemniał w głębokiej, tęsknej patynie; niebieskie grona zwieszały się czarną, zmęczoną plamą na ciemną zielen liści, a białe dachy gasły i stygły — I było to jakby cicha modlitwa z marzeń i snów spowita, — tęskna, daleka pieśń gęśli<sup>118</sup> jego niewolnic.

A w gasnącej powodzi światła i barw tęczy, w martwej ciszy miasta katakomb, uczył wreszcie, że jest sam jedyny na całym świecie, gdzieś na obcej, miliony mil odległej gwieździe; zapomniał, że jest jeszcze ktoś prócz niego na świecie.

Był sam.

Ściemniało. Zastygły cuda na niebie, i ciemna noc opadła ciężkim kirem na miasto.

A dusza jego drżała, błędziła, jak ptak przed burzą w strasznym niepokoju, bo czuła,

Dusza

---

<sup>115</sup>*winorośle* (daw., r.n.) — dziś popr. r.ż.: winorośl. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Te Deum* — *Te Deum laudamus* (łac.: Ciebie Boga wysławiamy), początkowe słowa hymnu dziękczynnego, śpiewanego podczas szczególnych uroczystości. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*leniwo* — dziś: leniwie. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*gęśle* — dawny instrument smyczkowy, używany wśród ludów słowiańskich i na Bliskim Wschodzie. [przypis edytorski]

że nadchodzi wielki cud, że przepaście się otwierają, że już blisko chwila, w której dusza wszelkie tajnie<sup>119</sup> przenika i w przepych własnej nagości patrzy.

A było, jakby się ze wszech stron przestrzeń ścieśniała, ku niemu się zbliżała, jakby linie i kontury się od miasta odrywały, w nowe kształty się przetwarzając jęły; ciemność zdała się pogłębiać jeszcze, stała się ciałem, zbliżała się coraz bliżej — coraz bliżej, a naraz pękły czarne opony<sup>120</sup> nocy i stało się światło, dziwne światło: jaśniejące tchnienie woni letnich nocy, zimny, jednostajny odbłysek ukrytych światów — stało się światło, jakie się tworzy przez refleksy metalicznych zwierciadeł, wewnętrzne światło, światło duszy wszechnatury.

I w tym bezświatnym jaśnieniu widział, jak z wolna wstępowała na taras jego pałacu — Ona, Duch święty jego bytu odwiecznego, On — Ona.

I szła ku niemu jak światło zbłąkane wśród mgieł — jakby z wolna i z trudem przedzierała się świetlistą swą łaską przez głuche i ciemne opary, gdy w jesiennych rankach znad bagnisk się wznoszą.

Szła, jak idzie na mile całe jęć dzwonoń pod wieczór zimowy po śniegiem skrzących się polach, po czarnych ugorach i mrozem skostniałych burzanach na bezprzestrzennych bachorzach.

Szła z wolna, faliście, jak zmrok, gdy znachodzi<sup>121</sup> śnieżyste, fioletowym czarem spowite góry. Poprzez rafy i szczeliny wdzierają się ostre, długie kliny cienia, mrokiem swym stapiają czystą jasność i tęskne fiolety — wżerają się długimi, ostrymi językami w iskrzącą się biel odwiecznego śniegu; gasną z wolna kryształowe skry; mrocznieją płaskowyzna i stoki; leje się cień, poważna, natchniona, pełna smutku, głębi i ciszy.

I szła ku niemu, jak idzie białe lśnienie srebrnych topoli w noc zaduszną, straszna i rozpaczna. Gdzieś na bólem stężonych polach osiadł i świszczy skłębiony tuman wiatru, a wraz biją o siebie smutnym dźwiękiem ostatnie, metalicznym łyskiem bielejące liście.

Cofnął się przerażony.

A poprzez las kolumn szła ku niemu srebrna jaśń<sup>122</sup>, cicha jaśń światła, drącego ciężkie opony<sup>123</sup> mgły, falistość jęków rozbudających dzwonoń, ponura tęsknota mroków, spływających z gór w dolin padoly.

Cofał się w najciemniejsze głębie swego Alkazaru, padł na twarz i szeptał drżący:

— Przyszłaś wreszcie. Dusza ma skrwawiona i skrzydła jej poszarpane, — przeszedłem góry i morza; zabija mnie upiorny strach tego miasta śmierci, ale czekałem, bo tak mi serce mówiło, że Cię tu znajdę...

Zaległa cisza. Zląkł się, że to nie ona.

I rozciągnął w krzyż swe ramiona i błagał rozpaczonym<sup>124</sup> szepciem:

— Kto jesteś?

A przez jego duszę przeszedł głos jak ciche lśnienie bolesnego uśmiechu, jak błada fala światła, niknący oddech rozmodlonego westchnienia:

— Jam jest najtajniejszą głębią Twojej duszy, jestem linią tego, coś przeżył; jestem dźwiękiem i barwą Twych snów; jestem celem Twoich pragnień; jestem krwią, którą wciąż od nowa Twoja chuć nabiega — przeze mnie i we mnie zostałaś poczęty — przeze mnie i we mnie dokona się żywot Twój...

A po olbrzymiej sali rozeszło się gdyby łkanie jesiennego deszczu, gdyby zaduszone tchnienie grobowych tajemnic, gdyby niewyplakana łza, co skamieniała na oku, stężałym w bólu, a o sklepienia odbił się żal i jęk:

— Pomniesz<sup>125</sup> noc, gdym tuliła Twą twarz w mych dłoniach, gdym obejmowała Cię gorącym opłotem mych ramion; głowa Twa spoczęła na mej piersi, a jam błędziła cichymi palcami w Twych miękkich włosach?

Wił się z bólu; głos ten pełen jęku, pełen niezemskich tęsknot, pełen strasznych wspomnień zapierał mu łkaniem piersi, wrażał w krtań — kajał się i błagał:

<sup>119</sup>tajnia — tajemnica. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>znachodzić (daw.) — znajdować, natrafiać na coś. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>jaśń — jasność, blask. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>rozpaczny — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>pomnąć a. pomnieć — pamiętać, przypominać sobie. [przypis edytorski]

Ciemność, Światło

Wieczór

Kondycja ludzka

— Och chodź, chodź — tak długo czekałem na Ciebie, czekałem w tych strasznych grobach, bo tak mi dusza mówiła, że tu Cię odnajdę, i tu Cię mieć będę, ile razy zechcę.

Gdzież Cię uchwycić? Patrz, szukam Cię naokoło, roztwieram me ramiona — spłyn — spłyn...

I zdało mu się, jakby ktoś przypadł do jego kolan, czołgał się przed nim, zwieszał się na jego szyi, opadał na jego piersi z rozkoszą i bólem mdlejących zachwyków.

Długie milczenie zaległo cedry sklepień i zielony sjenit<sup>126</sup> ścian poza kolumnami...

I czuł, czuł jej ciepłą, drobną, miękką rękę, widział ją w swej duszy, jak się nad nim chyliła i szeptała namiętnie:

— Tak długo błdziłam, szukałam i czekałam, czy może Twa ręka nie wyrwie mnie z nicości, nie ujmie mnie w kształty i w ciało nie przetworzy...

Słyszysz mnie, ukochany? Czujesz mnie?

Odeszłam od Ciebie, boś patrząc na mnie, patrzył w Twoją własną duszę — bo jestem ciałem Twej myśli, jestem kształtem i ciałem Twych tęsknot, wyrazem Twych uczuć i ruchem Twej woli... Odeszłam, bom<sup>127</sup> była Twoim zniszczeniem i śmiercią...

Odeszłam, ale dziś błagam, krzyczę ku Tobie: włoń Twoją rękę w moją nicość: niech powiąże miliony poszarpanych, rozwianych dźwięków w jeden akord mego ciała, niech stopi miliony wokół rozlanych barw w słońce, które to ciało ogrzeje...

O jasny mój, Boże mój promienny! Tak długo błdziłam, szukałam, krzyczałam za Tobą, ale wiatry przewiały mój krzyk i moją rozpacz, a Tyś mnie nie słyszał...

Nie lękam się już Twej zguby — wiem, że patrząc we mnie — w duszę Twoją — zginąć musisz, ale Ty przecież nie chcesz żyć beze mnie — więc wyrwij mnie stąd lub przyjdź do mnie — przyjdź, och! przyjdź.

Tęsknota obłąkała mą duszę, orkany bólu rozwiały me złote włosy, och chwycić te strzeliste promienie, okręć je wokół Twych rąk, wyrwij mnie z tej otchłani, bo rajem jest z Tobą, a bez Ciebie piekłem...

Słyszysz mnie? Czujesz mnie?

I jakiś straszny ból tęsknoty, niewysłowionego żalu grał kurczowym podrywem w bezmiernej sali:

— O jasny, promienny mój — wołałam, wiłam się w krzyku i rozpacznej modlitwie, ale głos mój przebrzmiał, a nie oddźwiękło Twe serce — drżałam, chwytalam Cię; usta me Twych szukały; rozchyłała się dla Ciebie mistyczna róża mego ciała, a nie odczuło mnie Twe serce; wczółgałam się w Twe sny, wiłam, kapałam się w ich żarach — a budząc się, zapomniałeś o nieziemskich pieściznach mego ciała...

I coraz silniejszą, gorętszą namiętnością rwał się głos jej:

— O spłyn Twą ręką po mej piersi, po mych biodrach, chwycić mnie w ramiona, podrzucić na Twą pierś, niech włos mój grzywają się najeży w dzikich pożarach Twej krwi...

Widzisz?

Patrz, ciałem się staję! czujesz żar mego ciała? słyszysz bicie mego serca!?

Krzyknij, rozszalej Twą wolę, bym się stała...

A naraz zerwał się, wyprężył, zolbrzymiał orkanem woli i po trzykroć razy odbił się o sklepienia straszny krzyk:

Stań się!

I ujrzał ją, siebie samego — nagą, w świętym przepychu.

I już opadała ciałem i niszczącym żarem w jego ramiona; oplotła go; jej ciało wwinęło, wtuliło się w niego:

I znowu straszny krzyk...

Wszystko zanikło —

Miłość niespełniona,  
Rozstanie

---

A otóż rozwichrzyły się na niebie olbrzymie fiolety przedpotopowych paproci; nie-

Kolor, Rośliny

<sup>126</sup>sjenit — skała, używana m.in. jako budulec piramid egipskich i Stonehenge. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>bom była — dziś: bo byłam. [przypis edytorski]

botycznymi szczytami wystrzeliły czarne lasy palm i cyprysów; cichą rozkoszą wykwitły w górę potężne lilie; wgrzały się w błękit krwawe języki potwornych orchidei; łagodnym smutkiem rozścielały się liście nenufarów; a wszystko to szalało w rozpasanym orkanie barw: zieleni, fiolety, purpura pasowały się z sobą w zacieklonych zapasach. Przez krzyki czerwieni palącego się żelaza wiły się fioletowe paski, gdyby strumienie górskie, widziane z najwyższych gór szczytów; w zatorach czerni i głębokich błękitów kwitły zielone plamy liści nenufarów, a na jeziorach ciemnej purpury kołysało się senne kwiecie białych lilij<sup>128</sup>.

Było, jakby się naraz dawno zamarle światy rozteńczyły, kiedy jeszcze natura w olbrzymich potęgach się przejawiała; kiedy wierzchołki palm szczyty gór przewyższały, kiedy potężne pnie powojów i lianów<sup>129</sup> lasy w nieprzerwalne gąszcze pętały, kiedy jeszcze gwiazdy w bezatmosferycznych przestrzeniach, gdyby<sup>130</sup> olbrzymie księżycy bezżarnym, metalicznym blaskiem łyskały, a niebo całe krwawiło się ciemną purpurą stęchłej krwi.

I znów ją ujrział, jak błędziła, gdyby jasny cień w rozkoszach ogrodów rajskich; jak nikła, rozwiewała się, spływała w krzyczących szalach barw.

I w strasznej tęsknocie krzyczał za nią, wyciągał ręce, błagał i łkał.

Stała. Cichym jaśnieniem przebiegł przez jej usta niewypowiedziane słodki, tkliwy uśmiech.

A głos jej rozanielił się w jego sercu:

— Pójdź za mną. Ta miłość nie z tego świata. Pójdź za mną! Tam Ty i Ja staniemy się jedno — nie tu, nie tu...

Och chodź, chodź, słodki, jedyny mój — tak długo krzyczałam za Tobą, rwałam się ku Tobie, wiałam się w kurczach bólu i tęsknoty, a ciałem stać się nie mogłam, a teraz wiem, że żadna choćby najpotężniejsza ręka mnie stąd wyrwać nie zdoła...

Och chodź, przyjdź, jedyny kochanku mój!

Utulę Cię taką rozkoszą, uspię Cię takimi czary<sup>131</sup>, o jakich nie śniłeś w twoich najgłębszych snach, pokażę Ci nowe światy, odsłonię Ci opony<sup>132</sup> wszystkich tajemnic, owinę Cię moim ciałem, spoczniesz przy mnie jak na łonie Boga — czemu się wahasz?

Cofała się z wolna, spływała w dal, a on szedł za nią, chwiał, potykał się, ale zdawało mu się, że jakaś niewidzialna siła sprzęgła jego oczy z jej postacią, rwała go za oczy, aż mu z orbit wychodziły — szedł — szedł...

Spływała w dal, gasła. Jeszcze jeden uśmiech jak słaba błyskawica, co się delikatnym jaśnieniem zleje wzdłuż krańców nieba:

Stał oszalały na tarasie swego pałacu i patrzył w straszliwe cuda.

Tęsknota

Morze stało w płomieniach.

To już nie morze, ale orkany fal z płynącego metalu, tryszczące<sup>133</sup> warami<sup>134</sup> gotujących się kamieni.

Było, jakby cała powierzchnia ziemi płynną się stała, zagotowała i rozszalała się w przedpotopowych burzach, w potwornych konwulsjach, podrywach i szalach.

W czarne niebios sklepienia buchały wściekle wodotryski kipiącego metalu, tryszczały<sup>135</sup> gejzery gotujących się zatorów; opętane golfy<sup>136</sup> kurczyły się, buchały i rzucały się na siebie w orkanach ognia i skier; ze wszech stron lały się straszne potopy ognia i warów; kołowały się w wirujących odmętach w gotującą się ciecz stopione głązy, skały i gór łańcuchy.

A otóż nagle zgasło morze i tam gdzie jeszcze przed chwilą widział wściekle pożary, roztaczały się przed jego okiem nagie, rozwichrzone sierry<sup>137</sup>.

Podartymi strzępami wykrzykiwały w niebo rozpasane odmęty kamienia, podzruczone

Ogień

Przyroda nieożywiona,  
Kamień

<sup>128</sup>lilij — dziś popr. forma D. lm: lilii. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>lianów — dziś popr. forma D. lm: lian. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>gdymy — tu: jak, niby. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>czary — dziś popr. forma N. lm: czarami. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>tryszczące — dziś: tryskające. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>war — coś wrzącego, kipiącego. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>tryszczały — dziś: tryskały. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>golf (z niem. *Golf*: zatoka morska) — tu: wysunięty język ognia. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>sierra (hiszp., z lac. *serra*: piła) — łańcuch górski. [przypis edytorski]

i zastygłe w chwili gdy je straszny tai-fun<sup>138</sup> ziemi w niebo ciskał. Wirowały się wokół zatory kamienne, skurczone, powikłane, wkręcone w niebo spiralną linią sprężyny. Z jednej i z drugiej strony wierały się w siebie dwa łańcuchy gór, gdyby dwa rozjuszone malstromy<sup>139</sup>, co się wzajem w bezdenne leje zwalić chciały. A z góry do dołu łąły się wodospady kamienia, sterczały katarakty skalne; tu i owdzie ciskały się w niebo w kształt smukłych wieżyc ostre złomy i wirchy, jak gdyby w chwili skamienienia całe łono ziemi się w szmaty podarło i z wszelkich szczelin i czeluści płynne strumienie lawy z siłą Niagary w niebo ogniem rzygały.

I z wzrastającym przerażeniem patrzył na to w góry, skały i kruszec zsiadłe morze.

A naraz zajaśniały skały i gór łańcuchy czarnym połyskiem stali, niebieskim lśnieniem rzniętego<sup>140</sup> ołowiu, białawym błękitem cyny, brudną szarością żużli węgla kamiennego; wyprysła i rozlała się tęcza wszelkiego kruszcu i nagich pokładów drogiego kamienia, a poprzez ten orkan stężących wirów i zatorów, poprzez katarakty i gór malstromy, poprzez zwieszane kruszczem wirchy i złotodajne gór doliny, wił się w spiralach i parabolach, w dzikich splotach lianów<sup>141</sup> i spowiciach winnych latorośli zielony golf<sup>142</sup> omszałej miedzi.

I z wolna wzmagala się, rosła, potężniała jasność, aż wreszcie rozpały się wszystkie szczyty i stoki, i złomy jakimś bezzarnym, tęczowym światłem palących się soli i gazów, eterów i olei, — cały świat stał w pożarach, co trawiącą siłę ognia straciły — głuchych pożarach światów, nie otoczonych żadną atmosferą.

---

Zerwał się. Zdjęła go straszna trwoga, strach i przerażenie.

Dusza jego połączyła się z ciałem.

W dole, w głębokiej kotlinie, zgasło miasto; rozpierchły się w górze ostatnie odgłosy, tylko wspomnienie wielkiej nocy cudu rozpostarło swe olbrzymie skrzydła nad światem.

Patrzył błędny, niepewny, co jawa, a co sen — jakby z najodleglejszych krańców ziemi dochodził go łoskot spadających wodospadów, a jak najdalsze echo wspomnień zamigotały przed jego oczyma złote szczyty wieżyc Alkazaru.

Zamknął oczy.

Coś, jak gdyby cichy łopot skrzydeł mewy polarnej:

Przyjdź, przyjdź!

Jakieś jaśnienie, jak gdyby błysnęła bezgłośna błyskawica:

Przyjdź, przyjdź!

Coś obejmowało słodkimi rączkami jego serce, tuliło, całowało:

Przyjdź, przyjdź!

A z duszy wyrwał mu się namiętny, łkający krzyk:

Idę już, idę!

A tam w dole ciemne aleje kasztanów. Zdawało mu się, że widzi świetlaną jaśń jej postaci wśród czarnych drzew.

A tam w dole mroczne, wilgne<sup>143</sup> kościoły, w których złożono zaśniedziałe sarkofagi książąt i królów. Zdawało mu się, że czuje jeszcze drganie jej serca, oddech jej gorący, ciepło krwi, którą się jej twarz zalała, gdy ją raz spotkał w ciemnych krużgankach.

A tam w dole — och! w tym mieście cudu kołysał ją jak dziecię w swych ramionach, to znowu gwałtownie podrzucał na piersi, to znów układał lekko na posłaniu, a wokół rozlewały się fale jej złotych, promienistych włosów.

---

<sup>138</sup>*tai-fun* (z chińskiego) — tajfun, cyklon tropikalny. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*Malstrom* (norw. *Moskstraumen*, tu przen.) — prąd morski, obfitujący w wiry, wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. Opisywany w średniowiecznych islandzkich Eddach, a także m.in. w utworach Juliusza Verne'a i E. A. Poe'go. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*rznięty* — cięty a. rzeźbiony. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*lianów* — dziś popr. forma D. lm: lian. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*golf* (z niem. *Golf*: zatoka morska) — tu: wysunięty język. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*wilgny* — dziś: wilgotny. [przypis edytorski]

Przypadł twarzą do ziemi, leżał długo, aż ból się w nim przełamał, a w sercu jego ucichło jakąś nadmierną ciszą nie z tego świata.

Leżał, wsłuchiwał się w siebie, zwrócił oczy w głąb swej duszy.

Cisza:

Morza zamarły, tętno ziemi bić przestało; ku niebu sterczyły<sup>144</sup> obumarłe, zwęglone wierzchołki niebotycznych palm i pni potężnych paproci; na nieruchomych bezkresnych polach lodu leżał straszny posiew bielejących kości przedpotopowego stworzenia —

Cisza:

Zastygłymi promieniami wiązał się księżyc ze ziemią, a nie było ręki, która by z tych strun choć jeden dźwięk wyrwać mogła, — szerokim łonem rozwarła się ziemia, ale nie było światła, które by je zapłodnić mogło: w bezpowietrznych obszarach wiszą bez ruchu ogromne gwiazdy w kształt zimnych globów miedzianych, a słońce, czarnym kirem pokryte, dogorywa, swym własnym ogniem strawione.

I w tej ciszy zerwała się w nim od nowa tęsknota za tą, którą już raz posiadał, którą utracił, a miał ją na nowo z duszy swej odtworzyć, z brył swych uczuć, myśli i woli na nowo ulepić — a nie miał dość sił ku temu.

Całą duszą zatęsknił za tą, której już nigdy tu na ziemi nie miał ujrzeć. Noc cudu, którą z nią przeżył, rozciągnęła się w nieskończoność; zdawało mu się, że był całą wieczność z nią razem, że skosztował cały bezmiar pieśczot, całą bezdenń rozkoszy.

I mówił do niej:

— O oczy wy moje,

tyle razy spływała moja dusza w zielone głębie wasze, gdyby spadająca gwiazda w otchłanie oceanu —

raz jeszcze wchłońcie bezmiar mego bólu; niech się w waszych bezdnach rozplynie jak strumień światła niewidzialnych gwiazd w bezkresnych przestworzach, —

o oczy wy moje!

— O usta wy moje,

tyle razy błędził wasz smutek na mej piersi, wżerała się wasza rozpacz w me ciało, a wasza pieśczota syciła me usta słodkim jadem niewypowiedzianych żądz — tyle razy składałyście się do rozkosznych szeptów, do rozpustnych krzyków i bezładnych bluźnierstw, — tyle razy drgałyście jękami lubieżnego bólu, gdy m silnym ramieniem przeginał to słodkie ciało, —

raz jeszcze niechaj się rozchyli wasz czarowny kielich, a zeń spłyną w mą duszę wasze straszne czary,

o usta wy moje!

— O głowo ty moja,

tyle razy tuliłem Cię do mego łona, tyle razy obwisłaś w mym uścisku, przechylałaś się w żarach mych spragnionych ust, obezwładniona dreszczami rozkoszy opadałaś na miękkie posłanie, —

raz jeszcze wtul się w moje łono, rozlej toń Twych gwiezdnych promieni na mojem ciełe — opaszę splotami twych jedwabnych zwojów gdyby królewskim naremnikiem ramiona moje,

o głowo Ty moja, o złoty strumieniu włosów, o strugo złota roztopionego!

— O całe ciało przenajśłodsze,

raz jeszcze rozszalej się przenajświętszym grzechem na mym rozżarzonem ciełe, zamieraj w nieludzkiej pieśczocie, rozkrzycz się w dzikim szale rozpusty, pień się wielkim Alelujach<sup>145</sup> w ciemną otchłań, w której się pamięć zatracza,

o całe ciało moje!

---

<sup>144</sup>sterczyć — dziś popr.: sterczec. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Alelujach — dziś popr. pisownia: alleluja. [przypis edytorski]

W kotlinie u nóg jego zaległa czarna noc — jedno tylko światełko żarzyło w kształt tłącej się głowni.

Już nie rozpaczał. Tylko cicha tęsknota za tymi oczyma, co swe gwiazdy odbijały w głębiach jego duszy taką bezmierną miłością, takim wielkim bólem i taką krwawą rozpaczą. Tylko cicha tęsknota za tymi dłońmi, co tysiączne swe linie, całe swe rozpaczne losy i przeznaczenia w twarz jego wrażały. Tylko cicha tęsknota za jej szeptem, za jej smutnym uśmiechem, za tą mroczną zadumą, co raz po raz na jej białym, jasnym czole zalegała...

Już nie rozpaczał. Bo wiedział, że pójdzie do niej; połączy, zleje się z nią w odwiecznym łonie, które jego i ją porodziło.

W ciemnej nocy krzyczały dwa wielkie kwiaty; gięły się i kurczyły dwie łodygi narcyzów, a w jakimś ciemnym morzu ujrzal odbicie dwóch płonących gwiazd.

Rozlewały się na spienionych falach w dwa długie strumienie, rwały się w roztopione bryły na pianę tryszczących<sup>146</sup> grzbietach, to znowu stapiały się w ogromne złociste tarcze, ale coraz zbliżały się ku sobie, walczyły z wód odmętami, wydłużały i kurczyły się, biegly ku sobie wężami światła, rwały się, by rzucić się na siebie, aż wreszcie z wielkim krzykiem zwały się w jedno olbrzymie ognisko.

Tak!

On i ona mieli powrócić do wspólnego łona, by zlać się w to jedno ognisko, w to jedno święte słońce.

Tam się dokona cud; wielki, niezmierny cud:

będzie jednym i niepodzielnym,

będzie Bogiem wszechjedynym, znowu Bogiem, co tu na ziemi rozłamał się w kawałki i cząsteczki, —

odsłonią mu się niepojęte tajemnice, rozwiążą się wszystkie cele i przyczyny bytu, — i zakróluje nad wszelką ziemią i wszem<sup>147</sup> stworzeniem.

On — Ona.

Amen.

Samobójstwo

---

Objęła go pieszczota jej drobnych rączy, owionęła go rozkoszna woń jej ciała, — dwie gwiazdy jej oczu wiodły go za sobą, a w duszy jego rozanielił się przedziwny szept jej głosu:

Idź już, jasny mój, idź za mną!

A on szedł z wielkim tryumfem śmierci w swym sercu tam, gdzie w oddali szklil się księżycem osrebrzony pasek ciemnych zatorów siedmioramiennego jeziora; szedł cichy i wielki, tylko z nieskończenie tkliwą miłością powtarzał bezustannie:

Idę już, idę...

*Toledo – Kraków 98/99*

---

<sup>146</sup>*tryszczących* — dziś: tryskających. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*wszem* — dziś: całym. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przybyszewski-androgyne>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Przybyszewski, *Androgyne*, druk. W.L. Anczyc, Kraków 1900.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0761-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.